

PREZENTUJEMY

Wojciech Kania urodził się w 1982 r. Mieszka w Rudniku nad Sanem. Debiutował w 1999 r. wierszem pt. *Oczekujący Sandomierz*, który był opublikowany w *Sandomierskim Gościu Niedzielnym*. Jest laureatem nagrody w konkursie poezji chrześcijańskiej w Kielcach. Wydał tomik poezji *Ogród marzeń*.

Wieczność

Spacerując
Wśród żołnierskich mogił
Ludzi których
Świeca życia zgasała
Nim dobrze zapłonęła
Wśród drzew
Których opiekuńcze ramiona
Przytulią każdą
Samotną matkę
Czekającą na odwiedzin
I malutkie światełko nadziei
Ze pamiętasz...
Spacerując po wieczności
Wącha pachnący
Chryzantemami i woskiem
Cmentarny liść

Samotność

Na starym kłęczniku
W którym zamieszkał
Pobożny kornik
Kłęcz z lekka przygarbiona
Starsza pani
Ręce pomarszczone
Obolałe
Mówią o przeszłości
Niełatwej
Trzyma mocno różaniec
I żarliwie się modli
Na jej ramieniu usiadł szary wróbelek
Który nasłuchuje
Jak kobieta w milczeniu
Mówi Matce Pocieszenia
O domu świecącym pustkami
O dzieciach które ją opuściły

O sąsiadkach
Których rzeki plotek
Niszczą spokojne życie
Cwierknął wróbelek
Spojrzała
Wzięła go
Ucałowała w dzióbek
Nie była już samotna

Stary wiatrak

Wiatr
Dmucha mu w otwarte ramiona
Stoi od lat
W tym samym miejscu
Ramiona jego
Są obolałe
Opustoszały
Tylko małe myszki
Są mu wierne
Wiatr
Okraża ziemię
I powraca
Wita go
Otwartymi
Obolałymi ramionami
Zakwitły obok
Białe stokrotki
Przyjaciółki jego
...
Przyszła kobieta
Zapaliła znicz
Pod starym
Kamiennym krzyżem

Pożegnanie

Ofiaruję Ci zielony kamyk
I różę białą jak szczyty gór
Zabierz też kilka zdjęć
Na wieczną pamiątkę
Najdroższy przyjacielu
Zostaw adres donikąd
A co z marzeniami
Które rozprysły się jak bańka mydlana
Niech uniosą Cię skrzydła
Twoich uczynków
Nie miej mi za złe
Nie pójde Cię pożegnać
Wstydzę się swego żalnego płaczu
Nad Twoją mogiłą
Mój przyjacielu

POWŚCIĄGLIWOŚĆ
I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHALITÓW

SPIS TREŚCI

- PREZENTUJEMY – W. Kania 2
- IDZIESZ PO LINIE – ks. M. Gładysz CSMA 3
- KOŚCIÓŁ ŁEZ I MĘCZENNIKÓW – rozmowa z abp. Tomaszem Pełą, przewodniczącym Episkopatu Kazachstanu 4
- ŻEGNAJ, DRUHU! – red. 5
- III RP NA SZKLANYM EKRANIE – B. Fedyszak-Radziejowska 6
- TAK TRZYMAĆ, PANIE JANIE! – I. Sikora 7
- EUROHARCE – J. Pruszyński 8
- GDZIE PRZESZŁOŚĆ? – G. Guttman 9
- ŚMIERĆ – M. Klecel 10
- MEANDRY ŚWIĘTOWANIA – S. Chyczyński 11
- PAŃSTWO SIĘGA BRUKU – J. Węgrer 12
- ŻYCIE OD NOWA – P. Kitrasiewicz 13
- WZÓR DO NAŚLADOWANIA – ks. R. Majka CSMA 14
- CORAZ BLIŻEJ BEATYFIKACJI KSIĘDZA MARKIEWICZA 15
- NIEDAWNO TEMU NA KARTUŻACH – ks. H. Kroll 16
- ZAPOMNIANE KRZYWDY – G. Karbowski 17
- POTRZEBA LUDZI PRZYZWOITYCH – C. Bunikiewicz 18
- TERAZ W POCIĄGACH – J. Tramer 19
- WOJNA KULTUROWA – P. Gospodarski 20
- BIEDNI CZY BOGACI? – S. Michalkiewicz 21
- TERRORYSTYCZNE WYZWANIE – S. Niesiołowski 22
- UKRYTE ADVERTORIALE – M. Przybysz 23
- TIVI-TERAPIA – Żuk 24
- SKRZYDŁA PEGAZA – P. Smogorzewski 24
- LENISTWO ARTYSTY – M. Szreder 25
- KUSTOSZ KRESÓW – J. Kossakowski 25
- ZGOTOWALIŚMY SOBIE TEN LOS – A. W. Pawluczuk 26
- NA ROLKACH DO MARYI – A. Grodzka 27
- ZACZNIJMY SŁUCHAĆ MARYI – rec. ks. S. Ł. 28

FOT. OKŁADKA I – P. Życiński

Numer zamknięto 23 października 2004 r.

ks. Mieczysław Gładysz

Idziesz po linie



O ludziach sztuki cyrkowej na ogół mówi się i sądzi dość schematycznie i powierzchownie. Rozmowa, którą tu chciałem przytoczyć, przeczy jednak tej sztamie myślowej. Zresztą – to było dawno...

– Nie pytaj Pan, czemu włożę się do parku z dwójką moich prawnuków! – zachnął się siwiuteńki, pochylony, wsparty na lasce mężczyzna. – Prawdę mówiąc, sam nie wiem, czemu to robię, mógłbym sobie wreszcie dać siana – czyli spokojnie zaurlopować... Ale, widział Pan – dodał starzec, poprawiając binokle – cały świat to jakiś wielki cyrk. Nieraz wydaje mi się, że jesteśmy zgrają linokoczków, współpracujących w biegu na linie ponad przepaściami. Zachowujemy się tak, jakby tych przepaści pod nami nie było. To zapewne beznamiętność, ale gdyby linokoczek, balansując na linie, myślał o marnych groszach, które zarobi – pewnie by spadł... Dla niego nie ma sensu zastanawiać się, czy warto? Po prostu spieszy się, by mieć to już za sobą...

– No, niezupełnie, mój kochany – wtrącił przyjaciel staruszka – myślę, że takiego ryzykanta coś gna, by sobie nie odpuszczał, by za następnym razem był lepszy niż poprzednio... Widzisz, kochany? Lepszy od samego siebie! I to jest jakiś drugi, inny wyścig, liczony i oceniany w zupełnie innych kategoriach... Bo weźmy na to ciebie samego, przyjacielu: czy spotkałbym cię tu z tymi łobuziakowatymi prawnukami, gdybyś tak naprawdę sam wobec siebie nie chciał być choć odrobinę lepszy od siebie wczorajszego?... I obaj wiemy, kochasiu, przynajmniej mamy nadzieję, że tam dokąd idziemy – jest najlepiej. Trzeba jednak dojść do końca liny... Z podnieśnionym czołem...

Gdy w listopadowe Zadaszki wyjdziemy na gorejące cmentarze, to tak, jakbyśmy chcieli dotknąć naszych Kochanych Bliskich, spojrzeć im w oczy, prosić o zrozumienie, może wybaczenie, może o nadzieję – taką linę ratunkową, po której można by bezpiecznie przejść na tę drugą stronę. W blaskach cmentarnych łun chcieliśmy zapytać o wielkie tajemnice światłości wiecznej.

Gdy piszę te słowa, w eter uleciały wiadomości, że na warszawskich Górcach spłonął kościółek. Doszczętnie. A gdy z pogorzelska wydobyto tabernakulum – kasę pancerną – po otwarciu stwierdzono stopienie się kielichów, monstrancji... Jedynie relikwie św. O. Pio – dopiero co sprowadzone – pozostały nietknięte. Ocalały. Wielu zastanawia się: Jakąż to linę ratunkową o. Pio podaje nam, szarpającym się nawzajem o to, co, komu, ile jestem winien?... Może zaduszone światła cmentarnej pożogi pomogą nam jaśniej zobaczyć cel i mocniej zaufać świętej Nadziei...

Z ks. arcybiskupem **Tomaszem Petą**, przewodniczącym Konferencji Episkopatu Kazachstanu, rozmawia ks. **Robert Nęcek**

Kościół łez i męczenników

Jak scharakteryzowałby Ksiądz Arcybiskup sytuację religijną w Kazachstanie?

Kiedy rozpoczęła się *Pierestrojka*, lawinowo przychodziła wolność. Od trzynastu lat Kazachstan jest krajem niepodległym. Dzisiaj panuje tutaj wolność religijna. Daje to możliwość swobodnego poszukiwania w dziedzinie religijnej. Należy pamiętać o tym, że całe pokolenia wyrosły na wojującym ateizmie. Od czasów rewolucji pozostała tylko jedna świątynia katolicka. W dodatku zachowała się jako przedszkole. Kilka lat wolności to jeszcze niewiele, gdy weźmiemy pod uwagę, że całe pokolenia wychowywały się w sytuacji totalnego zniewolenia. Jest to okres nieustannego poszukiwania. Ludzie znają w większości swoje korzenie. Uczęszczają do kościoła, meczetu i cerkwi. Upłynęło jeszcze wiele czasu, aby mogli się w sposób świadomy włączyć w życie wspólnot religijnych. Ludność zamieszkująca Kazachstan ma w 60 proc. korzenie muzułmańskie, w 30 proc. prawosławne, a około 2 proc. stanowią katolicy.

Czy Kościół katolicki ma zagrożoną pełnię praw ze strony państwa?

Oczywiście. Mamy podpisane porozumienie, spełniające rolę konkordatu między Stolicą Apostolską a Republiką Kazachstan. Zostało ono parafowane w 1998 r. i prawie natychmiast ratyfikowane.

Jak układają się relacje Kościoła katolickiego z większością islamską?

Kazachstan to swoisty fenomen. Mieszka w nim ponad 120 narodowo-

ści wyznających różne religie. Ludzie żyją przyjaźnie. Co prawda nie ma tak wielkiej współpracy między religiami, ale z pewnością nie ma wrogości, a są próby podejmowania bliższej współpracy. Prezydent Kazachstanu w ubiegłym roku zorganizował zjazd przedstawicieli religii świata. W zjeździe uczestniczyła także delegacja papieska na czele z kardynałem Tomko. Stolica Apostolska bardzo życzliwie odniosła się do tej inicjatywy. Były przedstawicielstwa wszystkich ważniejszych religii z takich krajów, jak choćby Chiny, Arabia Saudyjska czy Iran.

Wiemy, że w Rosji stosunki między Cerkwią a Kościołem katolickim nie układają się najlepiej. Jak te wzajemne odniesienia wyglądają w Kazachstanie?

Kościół prawosławny w Kazachstanie należy do patriarchatu Moskiewskiego. Mimo to relacje są dobre. Nie ma wrogości. Uwidacznia się to również na płaszczyźnie osobistej. Kapłani, a także biskupi, starają się, aby te wzajemne kontakty pielęgnować. Nie jest to dialog teologiczny, ale na płaszczyźnie ludzkiej relacje są coraz lepsze. W zestawieniu z Rosją mamy do czynienia ze znacznie lepszymi odniesieniami.

Na czym polega praca duszpasterstwa Kościoła katolickiego w kraju, w którym jest wyraźną mniejszością?

Kościół katolicki jest małą trzodką. Natomiast Kazachstan jest krajem ogromnym, dziewięciokrotnie większym od Polski. Jednak pracuje tu tylko 80 kapłanów i 100 sióstr zakonnych. Liczby te dają obraz naszych możliwości. Praca tutaj jest zdecydowanie od-



foto: G. Gajdzka

mienna od tej w Polsce. Praca w Kazachstanie polega na poszukiwaniu wiernych, gdyż katolicy żyją w dużym rozproszeniu. Do niektórych punktów ksiądz musi dojeżdżać prawie 500 km. Z tej racji rzadko spotyka się z niektórymi wspólnotami. Tak więc jest to praca w terenie i w drodze. Jednocześnie jest to praca bardzo ciekawa. Gdybyśmy mogli mieć więcej kapłanów, to z pewnością o wiele większej grupie osób moglibyśmy pomóc.

Jakie narodowości stanowią Kościół katolicki w Kazachstanie?

Jak wiemy, był to kraj deportacji. Z tej racji tradycyjnie katolikami są Niemcy, Polacy i mieszkańcy krajów bałtyckich – Litwini, Łotysze oraz Ukraińcy. Obecnie powoli się to zmienia. W ciągu 10 lat około 2 mln ludności – w tym wielu katolików – opuściło Kazachstan i powróciło do Niemiec, a także do Rosji. Dzisiaj mozaika narodowości jest o wiele większa niż dawniej, co oznacza, że członkami Kościoła katolickiego są ludzie przeróżnych narodowości.

Czy zdarzają się konwersje z islamu na katolicyzm?

Są Kazachowie będący katolikami, ale jest to niewielka liczba. Trudno mi

powiedzieć, czy to jest konwersja z islamu, gdyż kilka pokoleń wychowało się bez żywego kontaktu z wiarą i religią. Mogą to być ludzie mający tylko korzenie islamskie. Z pewnością nie są to osoby uczęszczające do meczetu i nagle zmieniające wiarę na katolicyzm. Może bardziej chodzi o tych, których przodkowie byli muzułmanami.

W czym widzi Ksiądz Arcybiskup źródło prężnie rozwijającego się katolicyzmu za Ziemi Kazachskiej?

Myślę, że podstawową sprawą są łzy i krew męczenników. Są to miliony ludzi, którzy zginęli w tym regionie świata. Jak wspominałem – było to miejsce deportacji milionów ludzi różnych narodowości, wyznań i religii. Kraj ten był regionem cierpień niewinnych osób. Uważam, że Pan Bóg z wielką miłością przyjął te łzy i tę krew. Byli to po prostu męczennicy. To właśnie krew i łzy

stanowią kluczową wartość tej ziemi dla rozwoju chrześcijaństwa. Poza tym ważnym elementem stało się umiłowanie różańca i adoracji Najświętszego Sakramentu. Każdego dnia przed Mszą świętą odmawiany jest wspólnie różaniec. Taki styl obowiązuje okrągły rok. Natomiast w stolicy Kazachstanu – nieustanna adoracja trwa dzień i noc od ponad dwóch lat.

Czego Kościół w Polsce – zdaniem Księdza Arcybiskupa – mógłby się nauczyć od katolików zamieszkujących w Kazachstanie?

Nade wszystko istotny jest osobisty kontakt. Chociaż jestem z Polski, to jednak cały czas wiele się uczę. Ładuję akumulatory. Myślę, że przez obcowanie jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni. Widzimy, jak Duch Święty działa z mocą. Nie stawałbym nikogo w roli nauczyciela. Wydaje mi się, że

Kościół w Polsce ma tak wiele darów, że mógłby się jeszcze bardziej otworzyć na misję. Jest to wielki kapitał Bożej mocy i łaski. Dla Kościoła w naszej Ojczyźnie byłoby to czymś niezwykle ubogacającym. Otwarcie bowiem zwielokrotnia rozwój Kościoła na miejscu, w znaczeniu duchowym. Przykładowo – wyjeżdża jeden kapłan, czy siostra zakonna i 100 osób jest tym głęboko poruszonych. Są przejęci – co to będzie, czy mu się nic nie stanie? Zaczynają się za niego modlić i organizować mu pomoc. Przez wyjazd jednej osoby duchowej 100 osób, a może więcej, zaczyna żyć wiarą katolicką. Nagle ta sytuacja jest dla nich nowością. Widząc tę wielką potęgę ducha Kościoła w Polsce – muszą to podkreślić – że stałby się on jeszcze mocniejszy przez otwarcie się na misję.

Dziękuję za rozmowę.

Żegnaj, Druhu!

W obecności Prymasa Polski kard. Józefa Glempa, odprawiona została, 23 października br. w stołecznym kościele pw. św. Zygmunta, Msza św. pogrzebowa za spokój duszy – osiem dni wcześniej zmarłego – śp. **profesora Tomasza Strzembosza**, jednego z najwybitniejszych historyków dziejów najnowszych.

Najbliższa Rodzina, przyjaciele, wychowankowie i kilkudziesięcna rzesza żałobników, pośród której zwracała uwagę ogromna liczba delegacji drużyn skautowych (śp. Zmarły był przewodniczącym Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej), odprowadziła Ciało Profesora, na miejsce wiecznego spoczynku – na Cmentarz Powązkowski.

Jako redakcja mieliśmy to szczęście i przywilej, że **prof. Tomasz Strzembosz** był przyjacielem naszego miesięcznika. Publikował na naszych łamach, ale też i udzielał jakże cennych rad i wskazówek. Za zaszczyt poczytujemy sobie fakt, iż stał się laureatem nagrody środowiska **Powściągliwości i Pracy – Bóg Zapłać**.

Obszerne wspomnienie o tym wielkim patriocie i wspaniałym wychowawcy pokoleń polskiej młodzieży opublikujemy w grudniowym numerze **PiP**.

Redakcja Powściągliwości i Pracy – Bóg Zapłać



foto: J. Sroka

ZWYCZAJNIE RZECZ BIORĄC

Nowy sezon i nowa ramówka jesienna w mediach robią wielkie wrażenie, liczne *talk shows*, wywiady i debaty o polskich sprawach pojawiły się – jak grzyby po deszczu *afery*. Od poniedziałku do niedzieli, od rana do wieczora obywatele III RP, jeśli tylko chcą, mogą słuchać i patrzeć na polityków, ekspertów, dziennikarzy pytających, odpowiadających, toczących spory i polemiki wokół ważnych, trudnych, kontrowersyjnych spraw i wydarzeń.

III RP na szklanym ekranie

TVN 24 prześwietla znaczące osoby w krzyżowym ogniu pytań. *Prosto w oczy* spogląda swoim rozmówcom M. Olejnik. *Co z tą Polską?* w każdy czwartek próbuje ustalić T. Lis, a w poniedziałek debatują goście K. Durczoka. Codziennie rano – *Café serio*. Wieczorem – *Puls wieczoru*. *Weekendy* możemy zarezerwować sobie dla K. Najsztaba (który choć pyta, to błędzi) oraz dla J. Żakowskiego, według którego układana jest *Summa zdarzeń*. Nowe, inne (?) *Wydarzenia w Polsce* i nowe (inne?) *Wiadomości w TVP 1*, stara (inna?) przepytawka w *Linii Specjalnej* i dawne (inne?) rozmowy *Między nami*. W poniedziałki *TVP 1* przekonuje, że *Warto rozmawiać*, a Br. Wildstein dodaje: *Bez autocenzury*. Redakcja katolicka przenosi nas w przestrzeń *Między niebem a ziemią*. *TVN 24* do *Łoży prasowej*, a *Polsat* do domowego zwierzyńca z *Czarnym psem i białym kotem*. Dodajmy do tej listy nadal emitowane: *7 dni świat*, *Zrozumieć świat*, *Tydzień*, *Nasza Antena*, *Echa Dnia*, *Wywiad Kuriera*, *Forum*, by docenić wysiłek wielu redakcji i zespołów w trudnym zadaniu objaśniania świata. Czy dzięki tym wszystkim rozmowom, wywiadam, debatom i debatom obywatele III RP poznają kulisy zdarzeń i ukryte mechanizmy władzy? Czy nasze zależne i niezależne media, zarówno splacające długi wdzięczności politykom sobie przychylnym, jak i odpla-

cujące pięknym za nadobne tym mniej przychylnym, zaczęły wreszcie pełnić rolę, do której je powołano – szukać prawdy o przyczynach, skutkach i przebiegu wydarzeń? Czy więc polska demokracja ma się nareszcie wspaniale, a polskie społeczeństwo dzięki mediom podległa przyspieszonej edukacji politycznej? Śmiem wątpić.

To prawda, że po dwu, czy trzech emiśniach nie wypada wystawić cenzurę nowym pomysłem i nowym programem, ale mam wrażenie, że gwiazdy dziennikarstwa głęboko rozczarowały, wciąż prowadzą swoje rozmowy płytko, powierzchownie, stronniczo i nieciekawie. M. Olejnik nadal unika trudnych pytań, gdy patrzy w oczy tych, którzy trzymają w Polsce realną władzę, a prześwietlanie w *TVN 24* polityków i przyjaciół SLD zawsze zamienia się w ich promocję. Tytuły dokładnie zapowiadają treść programów: jeśli *Najsztab pyta*, to rzeczywiście najważniejszy jest Najsztab, jeśli wydarzenia ułożone są w *Summa według (!!!) J. Żakowskiego*, to główną i jedyną rolę gra Żakowski...

Na dość obcesowo postawione pytanie *Co z tą (!!!) Polską?* trudno poważnie i wnikliwie odpowiadać. Szczególnie, gdy T. Lis kłucza do przyszłości Polski szuka nie w prawdzie, lecz w gestach i pozorach. Pomysł zaproszenia do studia L. Millera i Z. Ziobro tylko po to, by sprawdzić, czy były pre-

mier poda rękę komuś, kogo nazwał *zerelem*, mógł zrodzić się jedynie w głowie bardzo młodego człowieka. Osoba w moim wieku od początku wiedziała, że wszyscy razem tracimy czas.

Znani dziennikarze zdają się tkwić w świecie medialnych pozorów i teatralnych gestów, *ostre* pytania zadają szybko, pospiesznie i nerwowo, ale ich treść jest nijaka. Strach przed prawdą paraliżuje nie tylko polityków.

Ale obok gwiazdorskich popisów znanych dziennikarzy, w mediach pojawiły się także debaty. Odnoszę wrażenie, że chcąc nie chcąc, wzorem dla nich stało się pionierskie i nagrodzone swego czasu przez *Powściągliwość i Pracę* wyróżnieniem *Bóg Zapłać – Studio Otwarte Cybernetyki 7*, emitowane w dawnej *TV Puls*. Najważniejszym atutem ówczesnego *Studia Otwartego* był zestaw dyskutantów i czas, który autorzy programu przeznaczali na rozmowę. Pluralizm i tolerancja nie były celem, lecz narzędziem zapewniającym warunki prawdziwej wymiany myśli między ludźmi o bardzo odmiennych poglądach. Tak widział stawał się podmiotem, a nie przedmiotem medialnej obróbki, przestając bezmyślnie naśladować tzw. *moralne autorytety* i samodzielnie kształtując własne poglądy.

Dzisiaj Jan Pospieszalski prowadzi w *TVP 2* nowy program pt. *Warto rozmawiać* i – co rzadko zdarza się po przeprowadce do *TV* publicznej – robi to równie dobrze. Co więcej, wprowadził do telewizyjnych debat nowy obyczaj: przestał udawać, że dziennikarz to człowiek bez poglądów i bez osobowości. Nie ukrywa, że jako obywatel, ojciec, dziennikarz ma prawo do własnej opinii, ale nadal dobiera rozmówców o bardzo odmiennych poglądach i wszystkim daje szansę równoprawnego udziału w sporach i w ostro toczonych polemikach.

Miło mi donieść Czytelnikom *Powściągliwości i Pracy*, że nagrodzony wreszcie ze *Studia Otwartego* znalazł swoich naśladowców. *Debaty* prowadzona we czwartki przez K. Durczoka

w *TVP 1* zaczyna zapraszać ludzi o wyraźnie różnych poglądach, jakkolwiek prowadzący program dziennikarz wkłada wiele wysiłku w przekonanie widzów, że on sam jest od osobistych przekonań wolny. Szkoda, że formułę debaty toczoną w gronie polityków, ekspertów i autorytetów, którzy tworzą normę pewnej samokontroli i ograniczenia aktorskich popisów, poszerzono o fikcję aktywnej publiczności. To, co udaje się w *Warto rozmawiać*, gdzie czas pozwala publiczności na twórczy udział w polemikach, przybiera w znacznie krótszej *Debatie* formę namiastki dyskusji *zwykłych ludzi* z ekspertami i politykami.

Ale, jak widać, debaty mają się nieco lepiej, niż gwiazdorskie *talk shows*. Dodajmy do listy dobrze prowadzonych, chociaż bardziej kameralnych debat, także *Bez autocenzury* Br. Wildsteina, *Puls Wieczoru* i *Naszą Antenę* w *Pulsie* oraz *Łożę prasową* w *TVN 24*. Zauważmy jednak, że w demokracji potrzebujemy nie tylko debat, konieczne jest także stałe i bezwzględne *prześwietlanie* polityków. Wyborcy muszą wiedzieć, kto jest kim, co zrobił, czy kłam, czy mówił prawdę, po to, by móc wybierać uczciwych i wiarygodnych polityków.

Polityka w III RP weszła na naszych oczach w nową fazę, pryskają mity, pozory i kłamstwa szyte grubymi nićmi. Być może, powtarzam ostrożnie i powściągliwie – być może – zaczął się czas prawdziwego końca PRL-u rozumianego, jako kontynuacja starej władzy w nowych, demokratycznych dekoracjach. Nigdy nie wierzyłam w lekkie, łatwe i przyjemne budowanie demokracji i wolnych, niezależnych mediów. Kiedy ponad rok temu na jednym z otwartych spotkań w *Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich* publicznie oświadczyłam, że mamy przed sobą zadanie zmiany prezesa *TVP*, premiera i szefowej tego politycznego gabinetu, wydawałam się sobie i innym nieco zabawnym *oszołomem*. Trochę to trwało, ale wciąż mam szansę na demokrację obywateli, a nie pozorów.

Barbara Fedyszak-Radziejowska

Kto powiedział, że człowiek współczesny patrzy na świat oczami mediów. Zasięg tego spojrzenia jest szeroki. Dzięki telewizji widzimy wojny i kataklizmy na drugim końcu świata, bywa też tak, że oślepieni blaskiem ekranu nie zauważamy tego, co dzieje się blisko, tuż obok...

Tak trzymać, Panie Janie!

Ile razy w godzinach południowych przejeżdżam ulicą Miodową w Warszawie, widzę długą kolejkę oczekujących. Turyści zwykle pytają: na co pod kościołem oo. kapucynów czekają ci ludzie? Odpowiadam, że na obiad – choć nie tylko. Ojcowie kapucyni organizują także dla ubogich święta, wspólnie oglądanie filmów, pielgrzymki i spotkania.

W warszawskim Śródmieściu gromadzą ubogich opiekując się też siostry szarytki na ul. Tamka, siostry urszulanek na ul. Wiślanej, kamilianie na Dworcu Centralnym. Działalność ta, tak widoczna dla mieszkańców Warszawy, jest zupełnie niewidoczna w mediach. Świetnie za to widać prof. Szyszkwoską, która *apeluje, żeby bogaty Kościół podzielił się z biednymi majątkiem...*

Kościół robi to na co dzień. W parafiach działają grupy charytatywne. W październiku, który jest miesiącem miłosierdzia, trwają dodatkowe zbiórki. W mojej parafii, w kościele Świętego Krzyża, kosz z darami był stale wypełniony. Podobnie u sióstr wizytek. W niedzielę 10 października odbywała się też zbiórka na stypendia **Fundacji Dzieła Nowego Tysiąclecia**.

Dzięki pieniądзом z kościelnych zbiorów, młodzież z ubogich rodzin dostaje szansę zdobycia wykształcenia. Od dwóch lat stypendyści spotykają się w jednym z miast uniwersyteckich, gdzie mogą zapoznać się z możliwościami dalszego kształcenia i podjąć życiowe decyzje (o czym pisaliśmy w numerze październikowym). Zbiórka na **Fundację Dzieła Nowego Tysiąclecia** była jedną z akcji odbywających się w *Dniu*

Papieskim 2004 r. Wydawałoby się, że ze względu na osobę Ojca Świętego, dzień ten będzie cieszył się zainteresowaniem mediów. Tymczasem w *Faktach* – wiadomościach *TVN*, dziennikarze, jak zwykle, czyhali pod parafią św. Brygidy, żeby zaszokować widzów kolejnymi informacjami o rzekomych przestępstwach ks. Jankowskiego. Parafianie, doceniając *rzetelność informacyjną*, obrzucili ich jajami, co zostało uwiecznione na ekranie.

Miłym wyjątkiem okazały się programy *telewizji publicznej*, kierowanej od niedawna przez **Jana Dworaka**. Pierwsze wiadomości z obchodów *Dnia Papieskiego* ukazały się w Programie *I*. Już o godz. 11.00. Następnie o godz. 12.50 i 18.50. W tym czasie mogliśmy jeszcze obejrzeć program publicystyczny *Jan Paweł II – pielgrzym pokoju* oraz *Życie i czasy Jana Pawła II* – film dokumentalny. Uroczystości zakończyły się koncertem galowym na Placu Zamkowym w Warszawie, transmitowanym przez Program *I*. Przypominam też, że dzięki telewizji publicznej, w poniedziałki możemy oglądać świetny program naszego laureata *Bóg Zapłać* – Jana Pospieszalskiego.

Jeśli ta reformatorska tendencja się utrzyma, nie będę żałować pieniędzy na abonament telewizyjny i częściej zasiądem przed telewizorem. Choć, jak zwykle, trzeba zachować umiar i ostrożność. W Japonii rośnie liczba młodych ludzi tzw. *hikikomori*, którzy nie opuszczają swoich pokojów, żyjąc wirtualnej rzeczywistości.

Izabela Sikora

Sądziłem, że nic u eurofilów nie jest w stanie mnie zadziwić. Ich pokora wobec *Unii* i miłość do niebieskiej flagi z gwiazdami, jakże podobna do holdów składanych swego czasu czerwonej z jedną gwiazdą, to tylko kwestia zmiany kierunku ze Wschodu na Zachód. Ot, taki obrotowy kult! Po europeizacji wybrańców naszego narodu, po wiernopoddanych gestach wobec postępujących rządów Niemiec i Francji, po umizgach do eurokasy przychodzi kolej na europeizację naszego zacofanego i obskurantckiego społeczeństwa w duchu *liberalizmu*.

Euroharce

Jan Pruszyński

Oto na stronie tytułowej dość szmatławej gazetki *Metro*, z 30 września br., nad tytułem *Harcerz, wyzwolony* cień lilijki przykrywa liść konopi, zaś w środku, bliżej nieznanego Piotra Kaczyńskiego, przedstawiony jako *szef polskiego oddziału harcerstwa europejskiego Babel* – zachwalał szczerp euroharcerzy założony w natolińskim *College of Europe*, opowiadając, czym różni się oni od harcerstwa polskiego.

A różnice są spore. W ich programie znalazły się: legalizacja związków homoseksualnych, aborcji, antykoncepcji, eutanazji i narkomanii, nie ma natomiast miejsca na wychowanie harcerskie, które owemu panu K. kojarzy się jedynie ze *spodniami moro, finkami i glanami*. Jest to więc raczej libertynizm, akceptujący dewiacje moralne i społeczne, niż liberalizm, a owe *glany* wskazują, że utożsamia on harcerzy ze *skinanami*.

Dlatego pozwalał sobie przypomnieć, że skauting – zaszczerpiony w Polsce przez Andrzeja Małkowskiego w przededniu *I wojny światowej* – był organizacją katolicką, kształtującą charakter w służbie Ojczyźnie i w pomocy potrzebującym. Rota przyrzeczenia harcerskiego brzmiała: *Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźniemu, być posłusznym prawu harcerskiemu...* A prawo to nakazywało – między innymi – prawdomówność, czystość w mowie i uczynkach, a także zakazywało picia napojów alkoholowych i palenia tytoniu. Nie każdy wie, że rozpijanie polskich

poddanych było wówczas sprawnym narzędziem zaborców, a papierosy stały się nie rozpowszechnioną używką, nie omijając młodzieży szkolnej, gdy jeszcze nie znała ona narkotyków. Nie chcemy też pamiętać, że harcerstwo – oprócz ćwiczenia sprawności fizycznej – uczyło nie co

**Czujaj – to znaczy, by wśród dróg
i zmiennych dni żywota
pozostał zawsze z tobą Bóg,
Ojczyzna, nauka, cnota...**

(ok. 1912 r. – aut. nieznan)

robić, ale *jakim być*, zaś lilijka została przyjęta za godło skautów ze względu na fakt, iż *jest ona symbolem czystości!*

Gdyby nie harcerstwo, armia ochotnicza odradzającej się Rzeczypospolitej mogłaby nie pokonać w 1920 r. najeźdźcy ze Wschodu. Zapalna i patriotyczna młodzież polska gotowa była zginąć w polu, ale rejterowała przed wszami, czerwone, zimnem i błotem, podczas gdy lepiej wyszkoleni harcerze trzymali się do ostatka. Przydomkiem *pulk harcerski* znaczył tyle co – gwardia. Kto zresztą chce, niech zajrzy do książki *Harcerze w bojach* Lecha Nekrasza.

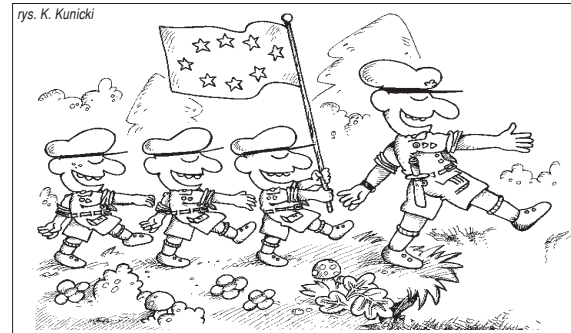
Gdyby nie wychowanie harcerskie, w *dwudziestoleciu*, napastnicy z Zachodu mieliby ułatwione zadanie w 1939 roku i podczas okupacji. Nie byłoby *braterstwa i służby, Szarych Szeregów* i znacznej części *Armii Krajowej*, nie istniałoby harcerskie bataliony *Zoska, Parasol, pulk Baszta*, kompania *Jeleń*, nie byłoby harcmistrza podchorążego

Janka Bytnara, hm. Alka Dawidowskiego, hm. Tadeusza Zawadzkiego i tylu innych leżących w równych szeregach kwater cmentarzy wojskowych. Nie byłoby *Powstania Warszawskiego*, ale pewnie nie byłoby i Polski – co bardzo odpowiadało zamiarom obu naszych sąsiadów – i tych ze Wschodu i z Zachodu.

Powojenna *władza ludowa* upatrywała szczególne zagrożenie w młodzieży harcerskiej, boć w 1946 r. członków **PPR** było niespełna dwa tysiące, zaś harcerzy stokroć więcej. Ich ideologia sprowadzała się do służby Ojczyźnie, nie zaś – Związki Sowieckiemu. Dlatego najpierw z przyrzeczenia harcerskiego usunięto Boga (*Przyrzekam uroczyście całym swym życiem dążyć do budowy Demokratycznej Polski, pracować dla dobra powszechnego...*), a gdy okazało się, że *imperialistyczna ideologia harcerstwa* – jak głoszone – *przeciwstawia się socjalizmowi i nie kształca umysłu młodzieży polskiej w duchu zacofanego klerykalizmu*, po prostu je rozwiązano. Niedługo zresztą, bo w siedem lat później (po październiku 1956 r.),

pojawiły się znowu lilijki i krzyże, powstawały nowe drużyny, szczerpy, hufce i chorągwie. Ku niezadowoleniu *postępowej młodzieży ze Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej*, zamiast: *Diety różnych narodów, my miecztoju o mirie żywiom* – porwiała modlitwa: *O Panie Boże – Ojcie nasz / w opiece swej nas miej. / Harcerskich serc Ty drgnienia znasz / nam pomóc zawsze chciej. / Wszak Ciebie i Ojczyznę – miłując chcemy żyć, harcerskim prawom w życia dniach / wiernymi zawsze być.*

Wkrótce więc pojawiła się (sama?) *postępowa konkurencja: Czerwone harcerstwo* – kierowane przez przysięgłego komunistę Jacka Kuronia, który – jak sam mówił – *harcerstwa szczerze nie znosił*. Przyjęło ono za patrona sowieckiego generała *Waltera Świerczewskiego* (nb. podpisującego wyroki śmierci na partyzantów polskich). Zmieniono też przyrzeczenie harcerskie **ZHP**, a składający je mieli odtąd *pełnić służ-*



bę Polsce Ludowej, być wiernymi sprawie socjalizmu, walczyć o prawdę i sprawiedliwość społeczną i nieść pomoc każdemu człowiekowi. Na czym polegała demokracja ludowa, sprawiedliwość społeczna, a zwłaszcza – co to była *sprawa socjalizmu*, nie tłumaczono. Chętnie natomiast nadawano drużynom patronów w rodzaju funkcjonariusza łowskiego **NKWD** – Krasickiego. Chętnie natomiast nadawano drużynom patronów w rodzaju funkcjonariusza łowskiego **NKWD** – Krasickiego, zwanego *pieszczotliwie Jankiem*, Hanka Szapiro – popularnej pod nazwiskiem *Sawicka, czy bohaterów KBW* (sic!). Instruktorem harcerskimi zostawali działacze partyjni, *oddelegowani do pracy z młodzieżą*. W latach 70. sejm PRL

podjął uchwałę o *socjalistycznym wychowaniu młodzieży* i pojawiła się *harcerska służba Polsce socjalistycznej*, w piaskowych uniformach przypominających *hitlerjugend* i zwana *hysypys!* Sporo w niej było podtatusiałych działaczy o wojskowo-esbeckiej proveniencji. *Harcmistrzami* byli też: Grzegorz Piotrowski – morderca ks. Jerzego Popiełuszki i jego współnicy.

Ale jednak w 1980 r. harcerstwo znów powróciło – w na politycznej formie. *Kiham* (czyli *Krag Instruktora Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego*), harcerskie drużyny katolickie i *Zawiszacy*, których nieoficjalnym hymnem

była szaroszeregową pieśń: *Gdy przysłaż nam wyzwanie / ze Wschodu lub Zachodu, / Zawisza miecz nam poda, / ruszymy do pochodu... / I będzie Polska wolna, / my będziemy Polakami. / I równać będziem w prawo / szarymi szeregami*. Gdy kilka drużyn zorganizowało harcerską pielgrzymkę na Jasną Górę, władze wyraziły niezadowolenie, a pewien stary, ogłupiały ex-harcerz oburzył się na łamach *Trybuny Ludu*: *Sluchaj, partio, harcerstwo jest jedno, jest nasze i nie wierzy w Boga!*

Mimo dychotomii **ZHP/ZHR**, mimo nader marnego przykładu, dawanego przez osoby publiczne, harcerstwo dysponuje nadal znaczącą siłą moralną. Dlatego to, że kilku studentów z ośrodka w Natolinie – w którym widocznie błąkają się duchy jego poprzednich rezydentów: funkcjonariuszy partyjnych, Bieruta i jego świty oraz wypoczywających SS-manów – zakłada sobie organizację, dla której odpowiednią śpiewką byłaby czerniakowska: *Jest nas dwunastu, i tylko dwunastu, założymy razem Klub...* – można by zbagatelizować, gdyby nie to, że fundusze na ich działalność daje... Komisja Europejska, dopuszczając się tym samym swego rodzaju dywersji wychowawczej.

Co na to nasze europosły? ■

Dlaczego nie nie słycać, by tematami historycznymi zainteresowali się nasi twórcy? Starzy mistrzowie czują się znuzeni, młodzi – albo się boją, albo starają się być otwarci na problemy świata. Tych zaś, którzy by ewentualnie chcieli, nazywa się oszofomami, bezsensownie powracającymi do historii...

Gdzie przeszłość?

Problemów naszej kinematografii nie brakuje. Jednym z najdotkliwszych jest permanentny brak pieniędzy. Dlatego też, aby zrealizować film, trzeba zdobyć sponsorów, którzy wyłożyliby odpowiednie sumy, a w konsekwencji zaakceptowali scenariusz. I tu zaczyna się problem. Kto bowiem ma dać pieniądze na opowieść z naszej historii? Mało którego sponsora zainteresuje sześć wojen, jakie państwo polskie musiało stoczyć o swój niepodległy byt. Co

więcej, 30-, 40-letni twórcy argumentują swoją postawę negacji historii następująco: młode pokolenie nie jest zainteresowane przeszłością, nie przyniosła ona nam nic dobrego – poza wojnami, najazdami i komunizmem.

A przecież w 1999 r. Andrzej Wajda nakręcił *Pana Tadeusza*. Okazało się wtedy, że historia *ostatniego zajazdu na Litwie* dała widzom widowisko o wyjątkowych walorach plastycznych, ze wspaniałymi rolami (Seweryn, Szapo-

łowska, Olbrychski, Linda), stylową muzyką Kilara, sprawną organizacją skomplikowanej fabuły. Co więcej, do kin ruszyli tłumnie nie tylko starsi widzowie, lecz także młodzież.

Nie jest również prawdą, że brak jest w Polsce odpowiednich scenariuszy. Wystarczyłoby sięgnąć np. po książkę Sergiusza Piaseckiego *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy* i materiał na film niemal gotowy. Swoją drogą, prawdopodobnie jeszcze w tym roku do księgarń trafi komiks *Westerplatte – zło-ga śmierci*. Może to oznaczać, że po latach świadomego odwracania się od historii młodzi twórcy powracają do takich tematów.

Grzegorz Guttman

Zygmunt Freud (jeden z ojców nowoczesnej psychologii, twórca psychoanalizy, do dziś przemożnie wpływający na umysły Zachodu) na wiadomość o nieuleczalnej chorobie, wykrzyknął do lekarza, który mu to oznajmił: – *Jak pan może mi to mówić, kto dał panu prawo mnie usmiercać? Można by powiedzieć nieco uszczupliwie: medice, cura te ipsum – lekarzu, lecz się sam, albo: zaczni od siebie.*

Śmierć

Ta sytuacja i te słowa wiernie oddają wewnętrzną stan współczesnego człowieka: *straszliwy lek przed śmiercią* i wcale nie paradoksalne usuwanie jej z pola widzenia, zarówno z życia publicznego, społecznego, jak i osobistego, z własnych przeżyć, sposobu życia i wyznawanych wartości, z życiowych celów i perspektyw. Dalej, prowadzi do usunięcia śmierci ze świadomości i sfilmowanie, zepchnięcie jej właśnie do sfery podświadomości, którą odkrył Zygmunta Freud. Ale te wiadomości, jakie proponuje nowoczesna nauka (w tym psychologia, która stała się głównym promotorem współczesnej cywilizacji), niewiele mogą powiedzieć człowiekowi o jego własnej śmierci czy – ściślej – zaradzić śmierci: wyleczyć Freuda z lęku. Nauka może obserwować śmierć organizmów, ale nie może przeniknąć śmierci zadnego, najmniejszego nawet człowieka, pozostanie bezradna wobec jej tajemnicy. Śmierć będzie zawsze największym wyzwaniem, skandalem dla czystego rozumu lub zdrowego rozsądku.

Śmierć w ogóle jest tajemniczym kluczem do tego, czym jest człowiek i czym jest jego życie. Bo śmierć i życie są nierozłączne: nie da się tej całości rozdzielić, ani pojąć jednego bez drugiego. Dlatego wybór tylko jednej strony jest pozornym, błędnym wyborem życia, życia – w pewnym sensie – w złudzeniu, niepełnego a w przyszłości wypełnionego rozczarowaniem, zgrozą i protestem Zygmunta Freuda.

A przecież, zdawałoby się, nowoczesna cywilizacja i współczesny model życia są całkowicie po stronie życia, wyrażają poparcie dla aktywizmu, pozytywne nastawienie do świata, witalności, optymizmu. W istocie jest przeciwnie: to *cywilizacja śmierci*, jak ją nazwał Jan Paweł II, stająca przeciw życiu rozumianemu wszechstronnie i perspektywnie. W rezultacie stająca po stronie

śmierci, gdy prowadzi do stopniowej negacji wartości życia, wręcz prawa do życia, co widać jasno w kampaniach aborcji, eutanazji czy antykoncepcji – rzekomo w *obronie jakości życia*, w istocie zaś w uzurpacji panowania nad życiem, w pokusach biotechnologii i medycyny eksperymentującej na ludzkim życiu, w utopiach generowania nowego człowieka według własnych projektów i bez żadnej odpowiedzialności. Widać także w ogólnie przedmiotowym i rabunkowym stosunku do życia, w tolerancji wobec przemocy i degradacji życia. Ten świat jest zaprogramowany jako świat bez granic w ekspansji, bez stron negatywnych, bez cierpienia, bólu, bez śmierci, jako świat nieśmiertelny dla nieśmiertelnych, dla ludzi takich, jak Freud, którzy nie mogą umrzeć, bo śmierć jest skandalem nie do przyjęcia i nie powinien nad nimi panować.

Eksperyment budowy zupełnie nowego ludzkiego świata jeszcze raz przekonuje o mrzonkach i utopiach, które kuszają ludzki umysł. Pokazuje, że do spraw fundamentalnych: egzystencji i jej ostatecznego sensu, a więc do eschatologii, czyli tego, co po śmierci, trudno mieć stosunek inny niż religijny. Dzieje całej ludzkości wystarczają za dowód. Refleksja dawna i nowa, świecka i religijna, filozoficzna i naukowa, musi zwracać się tu do najgłębszych, a nie – powierzchownych źródeł. Największe dzieła ludzkości rozważały sprawy życia i śmierci, i rewolucja nowoczesności nie może polegać na odrzuceniu tej mniej wygodnej strony życia.

Zwłaszcza chrześcijaństwo rozwinęło refleksję o życiu i śmierci jako darze i niezbędnej drodze ku życiu nadprzyrodzonemu i wiecznemu. To właśnie chrześcijaństwo jest po stronie życia tak szeroko przyjmowanego, w którym śmierć jest przejściem w stan pełnego, nieznanego tu, w innym wymiarze z-

wijającego się życia. To w chrześcijaństwie mówi się o wielkości życia, nad którym śmierć nie będzie panowała, ale nie – dzięki naszej inżynierii i technologii, ale dzięki śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa, który przezwyciężył śmierć, choć jej przecież nie usunął. Podobnie, jak zła i cierpienia w życiu doczesnym. Pozwolił uwierzyć i śmieć się z Nim pytać: *gdzie, śmierci, tyj ościén, gdzie twoje zwycięstwo?*

W czasach aborcji, eutanazji i odrzucania nawet samego życia, musimy szukać argumentów i sposobów przekonywania zwolenników przedczesnej, dobrowolnej albo wymuszanej śmierci, aby także przekonywać siebie. Sporo można ich znaleźć w poważnych, ale często trudnych dziełach. Z dawniejszych warto polegać na pracach lekarzy tanatologów, takich jak Kubler-Ross, Jacques Brehant, a także teologów, jak Josef Ratzinger (*Śmierć i życie wieczne*), Ladislav Boros (*Misterium mortis*), czy historyków kultury, jak Philip Aries (*Człowiek i śmierć*). Jedną z ważniejszych wydanych ostatnio książek, gruntownie przedstawiających problematykę śmierci, jest praca niemieckiego teologa Helmuta Thielicke, pt. *Życie ze śmiercią*. Autor omawia w niej współczesne uwikłanie człowieka, mechanizmy redukujące dzisiejsze rozumienie człowieczeństwa i życia, wynikający z tego lęk nie tylko przed śmiercią, lecz także przed samym życiem. Przeciwności temu religijne rozumienie śmierci, najpierw biblijne, następnie nowotestamentowe, chrześcijańskie.

Interesującą i aktualną książką jest również *Eutanazja* trzech francuskich autorów (Nicolas Aumonier, Bernard Beignier, Philippe Letellier). Porządkuje ona wiedzę o tym nowoczesnym procederze, jakim staje się eutanazja, przedstawia stan prawny w dzisiejszej Europie, daje przegląd stanowisk i argumentów *za i przeciw* eutanazji, ale powstrzyma się przed zajęciem stanowiska. Dla wielu Czytelników będzie zbyt minimalistyczna, nie daje bowiem podstaw do pewnego wyboru, dla chrześcijanina jednak wybór ten jest jasny, wystarczy mu posiadane argumenty.

Marek Klecel

Dobrodziejstwa świętowania nie wynalazło chrześcijaństwo, skoro ludzie umieli z niego korzystać już w początkach starożytności. Prastare ludy Mezopotamii, także Egipcjanie, Fenicjanie, antyczni Grecy i Rzymianie mieli swoje święte dni, związane z wielobóstwem, w jakie wierzyli. Również starożytni Hebrajczycy wspaniale umieli właśnie świętowaniem czcić Boga, który wybrał ich naród spośród innych. Oczywiście, świętowanie zawsze łączyło się z mniej lub bardziej rozwiniętą liturgią.

Meandry świętowania

W chrześcijaństwie dni świąteczne dzielą się (generalnie rzecz biorąc) na dwa rodzaje: na niedziele i na święta. Regularność tych pierwszych chrześcijaństwo wprowadzili na wzór judaizmu. Pomijając funkcję religijną niedziel, ich siedmiodniowy cykl spełnia bardzo ważną rolę psychologiczną w życiu nazbyt zapracowanych społeczności. Wynika to bezpośrednio z elementarnych zasad higieny psychicznej, które narzucają człowiekowi cotygodniowy odpoczynek – dla jego dobra! (Pogwałcenie tego rytmu wiązałyby się z poważnymi konsekwencjami zdrowotnymi.)

Oprócz respektowania odpoczynku w niedziele i w święta *stricte* kościelne, Polacy zwykli łączyć z duchowością chrześcijańską pewne święta narodowe (np. 3 Maja, rocznicę *Cudu nad Wisłą*, 11 Listopada), co bez wątplenia jest wynikiem tragicznej historii ostatnich dwustu lat. Manifestowanie uczuć patriotycznych zawsze łączyło się w tym wypadku z uczestnictwem w uroczystościach religijnych, mając nadawać tym szczególnym dniom bardziej podniosły, niebosięzny wydźwięk. Z tego względu ich świecki charakter – poprzez dopełnienie liturgiczne – nabierał jakby wyznaniowego znaczenia, ponadludzkiej rangi. Czterdziestopięcioletnie dzieje PRL-u jeszcze bardziej zintegrowały tę dwuwymiarowość. W dobre realnego socjalizmu rodzący chętnie, spontanicznie i masowo uczestniczyli w kościelnych obrzędach, organizowanych z okazji wielkich rocznic narodowych lub z innych analogicznych względów. Wtedy takie uczestnictwo było jednocześnie wyrazem postawy niepodległościowej, antykomunistycznej, kontestującej. Kiedy po II wojnie światowej tzw. *władza ludowa* zni-

sła niektóre święta kościelne nakazane (np. Objawienia Pańskiego, MB Gromniczej, Niepokalanego Poczęcia, Wniebowstąpienia NMP, drugi dzień Zielonych Świątek), pójście do Kościoła w te dni było nie tylko aktem pobożności. Dlatego też ci, którzy nie musieli pracować (więc przedstawiciele inicjatywy prywatnej na przykład), chętnie, samorzutnie świętowali. A na wieczornych Mszach św. były tłumy wiernych. Tak było do początków lat 90. ub. wieku.

Układ w Magdalence zmienił kierunek dziejów naszego narodu. I chociaż pozostały nadal tzw. *święta zniszone* i chociaż przywrócono oficjalnie, powszechny charakter ważnym świętom narodowym (np. 3 Maja, Dzień Niepodległości), ich przestrzeganie przez zwykłych obywateli uległo zauważalnym zmianom. W celebracjach religijnych bierze udział o wiele mniej osób, zaś na prowincji w tych dniach słyszy się nie rzadko jazgot pił tarczowych, terkotanie traktorów czy też inne odgłosy pracy – co dawniej było zjawiskiem niezmiernie rzadkim i budzącym ogólną dezaprobatę. Czyżby zatem świadomość narodu Polaków ulegała powolnemu zanikowi? Ta niepokojąca, a nawet zatrważająca tendencja dotyczy nie tylko świąt obecnie *nieobowiązkowych* (względnie tych o charakterze państwowym), ale coraz częściej zaczyna się ujawniać w niedziele! Wnosząc o aktywności prywatnych lub spółdzielczych placówek handlowo-usługowych aktualnie działających, można by pomyśleć, iż Polacy stają się narodem zapracowanym również w niedziele. Są i tacy, którzy wprawdzie nie pracują w te dni, a więc zażywają odpoczynku, ale do kościoła ani myślą się pofatygować, aczkolwiek mie-

nią się katolikami. Wydaje się, iż procent nie praktykujących osób w Kościele ostatnimi czasy przybrał tendencję zwyżkową. Być może jest to rezultatem panoszącej się mody na amerykański, czy też zachodni styl życia, przejawiający się m. in. w odchodzeniu od tradycyjnych wartości i religii przodków. A zatem *macdonaldyzacja* – jako ewidentnie negatywne zjawisko socjomenalne – zaczyna zbierać swoje żniwo także w świecie ducha.

Odpowiedź na pytanie *Świętować czy nie świętować?* może być tylko jedna. Pomijając psychologiczny aspekt uszłonego odpoczynku, należy podkreślić jego znaczenie socjologiczne oraz jego wymiar ściśle religijny (*Pamiętaj, abys dzień święty święcił*). W końcu aktywne świętowanie jest nie tylko wyrazem posłuszeństwa wiernych wobec postanowień władz kościelnych, ale przede wszystkim przejawem szlachetnej pokory wobec majestatu Boga. Świadome, dojrzałe, autentyczne chrześcijaństwo powinno się łączyć niejako automatycznie z potrzebą wielbienia Boga, m. in. poprzez modlitwę i świąteczne odpoczywanie. A więc prawdziwy katolik winien samorzutnie odczuwać potrzebę świętowania jako prostą i ponadindywidualną formę adoracji Trójcy Świętej. Wobec czego wszyscy ci, którzy honorują, uznają wyłącznie wielkie święta (Boże Narodzenie, Wielkanoc, Boże Ciało, Wniebowzięcie NMP) – mówiąc najdelikatniej – nie mogą stanowić dobrego przykładu dla innych.

Natomiast jeżeli chodzi o wybrane, szczególnie dni w rodzaju Narodowego Święta Niepodległości, to ich profanowanie – chociażby pracami podwórkowymi – świadczy dobitnie o braku najsłabiej pojętej, elementarnej świadomości patriotycznej. Wszak wszystkim tym, którzy przelewali krew za Ojczyznę lub złożyli ofiarę z życia, częstokroć bezimiennym bohaterom – należy się to minimum pomocy i szacunku. Naród, nie pielęgnujący własnych korzeni kulturowych, bagatelizujący państwo-wzorce znaczenia historycznej schedy, bezwzględnie poddający się procesowi skarlania duchowego, taki naród ma zwiększone szanse ulec przyspieszonej unifikacji europejskiej.

Stanisław Chyczyński

IN FLAGRANTI

Tak, jak atak terrorystyczny 11 września 2001 r. zmienił radykalnie politykę – i historię – Stanów Zjednoczonych, tak to, co stało się w Polsce po 10 września bieżącego roku, zmienia zdecydowanie stosunek dużej części obywateli do III Rzeczypospolitej.

Państwo sięga bruku

Właściwie należałoby rzec, że rozspala się nam organizacja państwowa, zbudowana teoretycznie na fundamencie zasad i doświadczeń demokratycznych – oto najwyższa władza ustawodawcza wydaje uchwałę o reparacjach wojennych i nakazuje podległej sobie władzy wykonawczej, rządowi, jej niezwłoczne wykonanie, a tymczasem rząd tę uchwałę odrzuca. Państwo sięga bruku...

Rząd, lekceważąc wolę Sejmu, obnażył przede wszystkim swą nieuczciwość wobec obywateli, bo skoro parlament (wybrany przez nas) uchwalił rezolucję o reparacjach, to znaczy, że uchwalił ją naród głosami swych przedstawicieli. A więc rząd jest antynarodowy i antypaństwowy?

Podobnie, lecz już na niewspólnie niższym poziomie, jest z prywatyzacją banku PKO BP: Sejm zdecydował, żeby akcji nie sprzedawać zagranicznym inwestorom, a rząd postanowił – sprzedawać...

Kryzys państwa, którego od września doświadczamy, ma oblicze i groteskowe, i groźne. Przecież wszyscy bez wyjątku ministrowie, na czele z premierem, a nawet większość podsekretarzy stanu, są posłami lub senatorami. A więc posłowie z Więjskiej, nie będący w rządzie, coś tam uchwalają, a ich koledyz-posłowie z gabinetów rządowych odrzucają tę uchwałę. Czy gdyby dzisiaj ci z Więjskiej jutro byli na miejscu tych z rządu, postępowaliby jak oni? I odwrotnie. Czy może w państwie niby-prawa być coś bardziej absurdalnego?

Posłowie z instytucji rządowych bim-bają sobie na to, co uchwalają ich koledyz z parlamentu. Parlament przeciw parlamentowi. Gdyby żył Witkacy, zrobiłby z tej rzeczywistości przepyszną tragifarsę polityczną.

Tymczasem Krystyna Chrupkowa napisała w *Rzeczpospolitej*: *Sejm – rzecz jasna – może podejmować uchwały w każdej sprawie, którą uzna za istotną.*

I bardzo często z tego korzysta. Niektóre z nich mają duże lub nawet wielkie znaczenie polityczne. Mimo to uchwały Sejmu nikogo nie wiążą, bo nie są źródłem prawa. Tak stanowi konstytucja. Z tego też trzeba sobie zdawać sprawę...

W tej obronie Sejmu słychać reperkusję z doświadczeń politycznych Polski Ludowej, kiedy był Sejm, był premier, była Rada Ministrów i na dodatek Rada Państwa. Instytucje te podejmowały różne uchwały i wydawały ustawy, żeby społeczeństwo sądziło, iż żyje w kraju demokracji (*ludowej...*), ale i tak nie miały one żadnego znaczenia w praktyce, gdyż decyzje polityczne były wcześniej podejmowane w biurze politycznym Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Każdy instruktor każdego wydziału KC mógł wezwać do siebie po reprimendę ministra, nie mówiąc już o pośle, który nie odgrywał najmniejszej roli ani w parlamencie, ani tym bardziej w polityce. Rząd był partii czasami, owszem, potrzebny – by go przed społeczeństwem obarczyć odpowiedzialnością za winy biura politycznego KC, na przykład za podwyżki z czerwca 1976 r. PZPR tłumaczyła niekiedy społeczeństwu – niemożącemu się połapać, kto rządzi – że rządzi rząd, partia natomiast *kieruje*, jest bowiem siłą kierowniczą narodu i państwa, a jako taka – jest niczym nieograniczona i oczywiście nieomylna.

Więc i dzisiaj mamy mieć państwo podobnie nienormalne? Kto *kieruje*, a kto rządzi: Sejm, Senat, prezydent, premier, Kancelaria Prezydenta, Kancelaria Premiera, Rada Ministrów? Obie monteskiuszowskie władze – ustawodawcza i wykonawcza – są kompromitowane. A trzecia, sędziowska, też już nie ma żadnego autorytetu, gdyż, po pierwsze, jest niewygodna, opieszala; po wtóre – wychodzi na jaw, że w wielu zespołach sędziowskich zasiadają sędziowie dawniej dyspozycy-

ni wobec władzy pezetpeerowskiej lub – wśród młodszych i młodych – mający dzisiaj konszachty ze światem biznesu i – o zgrozo! – z gangsterami.

Najgorsze wszelako, że trzeźniejsze konflikty władzy ustawodawczej z wykonawczą przywołują upiory przeszłości. Kiedy Rzeczpospolita zaczęła się w XVII wieku (o następnym stuleciu lepiej nie mówić) chylić ku upadkowi i zanikały właściwe zależności pomiędzy wybieralną władzą ustawodawczą, czyli sejmem – najcenniejszą wartością ówczesnej parlamentarnej republiki monarchicznej – a rządem, na czele którego stał król z urzędującymi stale senatorami – szlachtą zwoływała konfederacje. Na zjazdach konfederackich obowiązywała zasada większości głosów, a więc łatwo było podejmować uchwały, które przedstawiano władzy wykonawczej. Jeśli zaś ona ich nie przyjmowała, to szlachta miała się bronić i wszczynać rokosz, najstraszliwszą z najstraszliwszych tragedii każdego państwa: wojnę domową; podczas dwóch rokoszy siedemnastowiecznych, zwłaszcza drugiego, Lubomirskiego, kraj spłynął krwią...

Przewrót majowy Piłsudskiego z 1926 r. to także swego rodzaju, powiedzielibyśmy, nowoczesny rokosz. Na szczęście nie ogarnął, jak tamte dwa z XVII w., całego kraju; walka bratobójcza rozegrała się jedynie na ulicach Warszawy, życie straciło jednak około 500 osób. A więc i ten zamach stanu jest w naszej historii tragedią. Ale w przeciwieństwie do wcześniejszych, rokosz majowy był wygrany – zmusił prezydenta do abdykacji, premiera i rząd do dymisji, a Sejm do samorozwiązania się. I wyszła półdemokracja, półdyktatura...

Nasz prezydent milczy. Nie stara się zażegnać konfliktu między Sejmem a rządem. Obiecał na początku tej kadencji sejmowej, że spowoduje przyspieszenie wyborów parlamentarnych. Nie dotrzymał i tej obietnicy. A gdyby był inny gamizur Sejmu i Senatu, byłby także inny rząd i kto wie, czy doszłoby do dzisiejszego kryzysu, kiedy jedna władza państwowa zaprzecza drugiej, kiedy państwo działa przeciwko państwu, kiedy demokracja toczy z sobą walkę, a żeby nie być demokracją...

Jacke Wegner

Katolicki ośrodek readaptacji w otwockim Anielinie daje szansę na normalne życie narkomanom z całej Polski. Niewielu jednak potrafi z niej skorzystać.

Życie od nowa

Bartek ma 21 lat i brał narkotyki od lat pięciu. W ośrodku jest już dziewiąty miesiąc i ma mocne postanowienie zerwania z nałogiem. Udziela się jako wolontariusz pomagający nieuleczalnie chorym i zawodnik ośrodkowej drużyny piłki nożnej oraz koszykówki. Sportowcy z Anielinei odnoszą sukcesy w lokalnych rozgrywkach piłkarskich szóstek i mają dobrą opinię w powiecie. Bartek ma konkretne plany na przyszłość: po opuszczeniu ośrodka chce zdać na wydział lekarski warszawskiej Akademii Medycznej.

– Po wyjściu stąd muszę wystrzec się się pokus, wielu z pacjentów ponownie sięga po narkotyki. Miałem doświadczenia z marihuaną i amfetaminą i nie chcę do tego wracać – zwierza się.

Ośrodek dla osób uzależnionych od środków odurzających działa w Anieline od 1998 r., a jego założycielem jest ksiądz Arkadiusz Nowak. W oczach niektórych uchodzi za Wersal, gdyż zapleczce materialne jest rzeczywiście imponujące. Duże, nowoczesne budynki, wygodne pokoje, kort tenisowy i boisko do koszykówki. No i zdrowy, leśny klimat. Niejedyn ośrodek Monaru mógłby pozazdrościć.

Pacjenci uczestniczą w zajęciach prowadzonych przez pedagogów, z których większość pracowała w placówkach Marka Kotańskiego. Uczą się poznawać swoje mocne i słabe strony oraz problemy. Obowiązkowym elementem terapii jest obecność na niedzielnej Mszy świętej. Musi uczestniczyć w niej każdy pacjent, bez względu na światopogląd. Także raz w tygodniu ksiądz kapelan prowadzi z mieszkańcami zajęcia z etyki.

– Od pewnego czasu mamy do czynienia z nowym typem narkomana – mówi dyrektor do spraw merytorycznych, Janusz Strzelecki, niegdyś bliski współpracownik Marka Kotańskiego: – Jest nim, zazwyczaj elegancko ubra-

ny, młody człowiek, bywalec dyskotek i drogich lokali, niewiele przypominający dawnego żebrzącego ćpuna, odurzającego się środkami z grupy opium...

Obecne narkotyki są groźniejsze od dawnych, gdyż działają bardziej natępienie – pozornie łagodniej, wydłużając tym samym proces destrukcji psychicznej na wiele lat. Zażywający je może pracować i pozornie normalnie funkcjonować, co opóźnia podjęcie leczenia...

Wielu pacjentów nie znalazło się tutaj z własnej woli. Przybyli na leczenie pod presją rodziny albo sądowego nakazu. Pierwszy, stacjonarny etap terapii trwa rok i zaledwie 25 proc. leczących się udaje się dotrzeć do końca. Większość odchodzi sama, albo zostaje wydalona za nieprzestrzeganie regulaminu. A ten jest surowy. Przez pierwsze miesiące obowiązuje zakaz kontaktów z światem zewnętrznym: żadnych telefonów, żadnego wychodzenia, chyba że z grupą pod opieką terapeuty. Oczywiście mowy nie ma o alkoholu, a czarną kawę można pić tylko pod kontrolą. W ośrodku działa wewnętrzna policja, czyli złożona z wybranych pacjentów grupa sprawdzająca testami kolegów czy nie brali. Takie badania odbywają się kilka razy dziennie, a osoba, u której stwierdzono obecność środka odurzającego, musi opuścić ośrodek, aby nie demoralizować innych. Zakazane są kontakty erotyczne oraz tworzenie tzw. podgrup czyli wchodzenia w bliższe związki dwojga osób. Stwarza to bowiem niebezpieczeństwo odizolowania się od grupy, a ta właśnie ma być głównym czynnikiem wspierającym.

Po roku pensjonariusz staje się rezydentem. Nie uczestniczy w zajęciach, może swobodnie się poruszać. Mając nadal zapewniony dach nad głową i wyżywienie, może po-

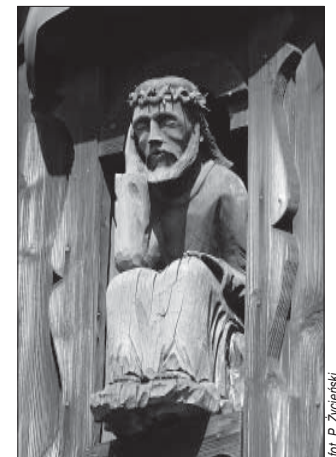
dejmować próby funkcjonowania na zewnątrz, w tym – szukania pracy...

– Poności częściową odpłatność, wynosi ona 330 zł – mówi dyrektor ds. administracyjnych Joachim Hanisz. – Nie stać nas na dalsze całkowite refundowanie pobytu, a poza tym wie, że musi zacząć wreszcie zarabiać na swoje utrzymanie...

Zdaniem Janusza Strzeleckiego dawniej lepiej pracowało się z narkomanami. Byli wytworem pewnych kontrkultur, nierzadko byli ludźmi uduchowionymi, można było pracować z nimi w oparciu o konkretne wartości. Teraz jest inaczej, pacjenci patrzą na swoich terapeutów jak na dinozaurów mówiących o uczciwości i etyce. Dla niektórych celem życia jest – na przykład – drogi model samochodu, a przy takim nastawieniu zasady moralne stanowią tylko przeszkodę. Ale niektórzy – jak Bartek – chcą i potrafią pracować nad sobą i swoim życiem.

– Niektórym udaje się wyjść na prostą – twierdzi terapeutka Iwona Malinowska: – Zostają w Otwocku lub okolicach, podejmują pracę. Nie wracają do rodzinnych miejscowości, bojąc się powrotu do nałogu. Zaczynają życie od nowa...

Piotr Kitrasiewicz



Dot. P. Zieliński

SYLWETKA KSIĘDZA WŁADYSŁAWA JANOWICZA CSMA

Środowisko rodzinne ks. Władysława Janowicza (trzeciego z kolei przełożonego generalnego Zgromadzenia Świętego Michała Archaniola, sprawującego urząd w latach 1940 – 1952), którego dzisiaj wspominamy, można powiedzieć, że ukształtowane było przede wszystkim narodowo-patriotycznymi ideami, które chcieli wcielić w czyn Polacy na Litwie na przełomie XIX i XX wieku.

Wzór do naśladowania



repr. Archiwum

Ksiądz Władysław Janowicz urodził się 17 listopada 1886 r. w Wilnie, w rodzinie mieszczańskiej. Ochrzczony został w kościele parafialnym rzymskokatolickim świętego Jakuba dnia 30 listopada tegoż roku. Wykształcenie w zakresie szkoły powszechnej zdobywał w latach 1896 – 1898; później od 1898 r. uczęszczał do gimnazjum klasycznego w Wilnie, w którym po ośmiu latach nauki uzyskał maturę. W okresie 1906 – 1907 był wychowawcą w Małym Seminarium Duchownym w Wilnie. Następnie w latach 1907 – 1908 studiował na wydziale medycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Trudności materialne skłoniły go jednak do przerwania nauki i powrotu do Wilna, gdzie w latach 1908 – 1910 pełnił funkcję wychowawcy.

Później Janowicz powrócił na studia

medyczne do Krakowa. Chociaż zawód lekarza pociągał go, zastanawiał się nad możliwością obrania innej drogi życia. W tym względzie nie różnił się od swoich rówieśników. Niepewność i poszukiwanie właściwszego wyboru towarzyszyły również i jemu. Pewnego wieczoru oznajmił swojemu koledze, Juliuszowi Zarembe, iż wyjeżdża w odwiedziny do ks. Bronisława Markiewicza do Miejsca Piastowego. Po powrocie był jeszcze bardziej zamyślony, czytał dużo religijnych książek. W końcu ponownie oznajmił, że jedzie do ks. Bronisława Markiewicza, tym razem na rekolekcje, i nie będzie go dłuższy czas. Po tej wizycie wrócił do Krakowa radośniej-

szy, musiały nastąpić w jego życiu jakas przemiana. Oznajmił wówczas swojemu koledze, że po rozmowie z księdzem Markiewiczem, zdecydował się wstąpić do założonego przez Niego zgromadzenia zakonnego.

Władysław Janowicz przybył na stałe do Miejsca Piastowego w 1910 roku. Spotkanie z tak ważną osobą, jaką był Założyciel michalitów, wywarło ogromne wrażenie na młodym człowieku, tak bardzo wrażliwym, otwartym, serdecznym i gotowym do poświęceń.

Święta wielkanocne w 1911 r. dały Zarembe okazję do przybycia po raz pierwszy do Miejsca Piastowego. Wizyta ta zapoczątkowała wiele następnych, które w latach 1910 – 1915 złożyły swemu koledze, Janowiczowi, pracującemu wówczas na stanowisku nauczyciela w miejscowej szkole. Warto

również zaznaczyć, że od 1911 r. Janowicz był członkiem *Towarzystwa Powściągliwość i Praca*. Poza tym pełnił on także w latach 1915 – 1919 funkcję dyrektora Zakładu Wychowawczego w Miejscu Piastowym. W tym czasie jako profesor medycyny, spotykał się z nim wówczas przy różnych okazjach jego pobytu w Krakowie. Głęboka przyjaźń, jaka połączyła tych dwu ludzi wielkiego formatu, trwała do ostatnich dni ich życia.

W zespole archiwalnym, stanowiącym spuściznę po ks. Janowiczu, oprócz jego osobistych zapisków, znajduje się między innymi korespondencja z Józefem Zmitrowiczem. Z nagłówków zachowanych listów – jak i na podstawie ich treści – wnioskować należy, iż oni również żyli w serdecznej przyjaźni.

Oprócz korespondencji zachowało się też wspomnienie, które J. Zmitrowicz napisał o ks. Władysławie Janowiczu. Podkreśla w nim, że był to człowiek obdarzony dobrą wolą i uwarliwiony na potrzeby bliźnich. Wszelkie ideały i wzory poświęcenia się dla idei i dobra drugiego człowieka żywo do niego przemawiały. Jako osoba o subtelnym usposobieniu, musiał prawdopodobnie niejednokrotnie przeżywać walkę wewnętrzną między duchem a ciałem. Pomocy w swych zmaganiach szukał w modlitwie i sakramentach świętych. Często w swoim życiu, idąc za wzorem prof. Wincenego Lutosławskiego, stosował całkowicie, nieraz kilkudniowy, post. Chociaż pra-

cę traktował bardzo poważnie, znajdował jednak czas na odpoczynek, co we współczesnym świecie, w ciągłym zabieganiu i pogoni za karierą nie zawsze jest możliwe.

Ksiądz Wł. Janowicz znajdował czas na lekturę Pisma Świętego, szczególnie Nowego Testamentu, jak również na czytanie dzieł Mickiewicza, Krasińskiego i innych poetów. Zagłębianie się w literaturę wywierało na nim ogromne wrażenie. Szczególnego wstrząsu doznał jednak po przeczytaniu manifestu Augusta Cieszkowskiego pt. *Ojciec nasz, który zawiera między innymi następujące zdanie: Oto czas nadszedł, iż nie-dojrzanym dotąd blaskiem zajaśnieje Imię Twoje, Boże Ludzkości! Boże Ojców naszych! Boże Przyszłości naszej!.. iż prawdziwe panowanie Twoje w Ludzkości nastąpi, – iż Wolę Twoją absolutnie i harmonijnie wypełnianą ujrzyś, iż nowe dary na nieszczęśliwą dotąd ziemię zlejesz, iż wywyższon będziesz w czci ludów i spójniejszym się węzłem z nimi i ich samych z Sobą połączysz...*

Ksiądz Wł. Janowicz był uzdolniony także muzycznie. Jego piękny tenor budził podziw słuchaczy. Zamiłowanie do śpiewu pragnął wpoić młodzieży zakładowej. Z natury swej nieśmiały, skromny, cichy, bezpretensjonalny, powszechnie był przez wszystkich lubiany. Być może, te właśnie cechy charakteru sprawiły, że młodzież lgnęła do niego i chętnie przebywała w jego towarzystwie. Do obowiązków ks. Janowicza należała między innymi uczenie w szkole powszechnej. Spośród przedmiotów szkolnych kochał szczególnie przyrodnicze, interesował się chemią. Ponieważ podjęte przez niego studia medyczne nie satysfakcjonowały go, dlatego – postanawiając realizować się na drodze powołania zakonnego i kapłańskiego – wstąpił do Zgromadzenia Świętego Michała Archaniola. Był wrażliwy na sprawy społeczne, stąd już jako licealista zaangażował się we współtworzenie organizacji Filaretów. Później, rozwijając talent pedagogiczny, zamierzając swe przelewał na swych wychowanków. O jego doskonałym wpływie na młodzież świadczyć

W **Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych** w Watykanie dobiega końca badanie domniemanego cudu uzdrowienia ks. Romana Włodarczyka, michalita, zdziałanego przez Boga za wstawiennictwem Czciwego Sługi Bożego **ks. Bronisława Markiewicza** – Założyciela Zgromadzeń Świętego Michała Archaniola (michalitów i michalitek).

Coraz bliżej beatyfikacji

22 kwietnia 2004 r. komisja lekarska uznała uzdrowienie ks. Romana Włodarczyka CSMA za *szybkie, całkowite i stale oraz niewytłumaczalne z punktu widzenia aktualnej wiedzy medycznej*.

25 czerwca 2004 r. odbył się Kongres Konsultorów Teologów, którzy uznali związek pomiędzy niewytłumaczalnym uleczeniem ks. Włodarczyka CSMA a modlitwą zanoszoną do Pana Boga, za wstawiennictwem Czciwego Sługi Bożego **ks. Bronisława Markiewicza**.

Zaś 19 października 2004 r., w Sali Bologna Pałacu Apostolskiego, Kardynałowie, Arcybiskupi i Biskupi – członkowie **Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych** – potwierdzili pozytywne osady lekarzy i konsultorów teologów.

Obecnie oczekuje się na lekturę dekretu o cudzie w obecności Ojca Świętego Jana Pawła II, która to kończy postępowanie kanonizacyjne. Po tym akcie zostaje wyznaczona data beatyfikacji.

Cieszymy się z tych krzepiących informacji i prosimy o modlitwę o rychłą beatyfikację Założyciela michalitów i michalitek oraz miesięcznika **Powściągliwość i Praca**.

Kuria Zgromadzenia Świętego Michała Archaniola

może Wiktor Wasilewski i ks. Michał Sopoćko, późniejszy spowiednik świętej Siostry Faustyny Kowalskiej.

Po śmierci ks. Wł. Janowicza, która nastąpiła 12 kwietnia 1956 r., mówiono, że był wiernym uczniem, sumiennym organizatorem opieki dla sierot i zaniedbanej młodzieży, później zaś jednym z współpracowników Sługi Bożego ks. Bronisława Markiewicza. Mówiono o nim, że był stabilnym filarem w dźwignaniu i pokonywaniu trudności, asystując wszystkim pionierskim poczynaniom Założyciela michalitów.

Od początku swego urzędowania, jako przełożony generalny Zgromadzenia, zabiegał o uporządkowanie kancelarii i organizowanie archiwum – wdrożył w 1940 r. w sekretariacie kurii generalnej, opracowany przez siebie, jednolity wykaz akt. Wykaz haseł rzeczowych zawierał tylko oznaczenia symbolami klasyfikacyjnymi, bez kwalifikacji archiwalnej akt, służył on jednak przez wiele lat do oznaczania, rejestracji, łączenia i przechowywania akt w kancelarii.

Ksiądz Wł. Janowicz odznaczał się

też prostotą i szczerością, głębokim umiowaniem dzieci i młodzieży. Posiadał rozległą wiedzę i wielokierunkowe zainteresowania, cechował go zapał w pracy wychowawczej, kulturalnej, muzycznej oraz żarliwość w służbie kapłańskiej. Walory charakteru i służba ubogim zjednywały mu powszechne uznanie, pełnił bowiem, w życiu zakonnym, wiele odpowiedzialnych funkcji. Pod koniec życia, od 12 grudnia 1940 do 12 kwietnia 1956, był ponadto spowiednikiem siostrzyczanek w Iwoncu i od 3 stycznia 1950 do 12 kwietnia 1956 – siostrzyczanek.

Zmarłego ks. Janowicza w kondukcje żałobnym (14 kwietnia 1956 r.) żegnało ponad dwustu księży i zakonników, wiele siostr zakonnych z różnych zakonów, a także okoliczna ludność.

Postać ks. Władysława Janowicza na pewno wpłata się w polski krajobraz ludzi świętych i stanowi dziś zachętę do naśladowania nie tylko dla kapłanów, lecz także dla młodzieży, która poszukuje swojej życiowej drogi.

ks. Roman Majka CSMA

PODGLĄDANE CZYNY, PODSŁUCHIWANE ROZMOWY

Coraz wyżej podnoszą głowy przeciwnicy przeprowadzania w naszym kraju dekomunizacji i lustracji. Mocnym głosem przemawiają współcześni Katoni, kwestionujący sens istnienia gromadzącego dokumentację działań w PRL tajnych służb – Instytutu Pamięci Narodowej. W cyklu *Podglądane czyny, podsłuchiwane rozmowy* pragniemy upowszechnić materiały archiwalne, jakie z IPN udało się wydobyc osobom pokrzywdzonym przez działania MBP, UB i SB. Pozostawiamy je bez komentarzy. Te uważamy za zbędne. Mogłyby one bowiem tylko osłabić wymowę przerażających donosów i raportów. W tym miesiącu ofiarowujemy naszym Czytelnikom, ku refleksji o czasach nie tak dawno minionych, fragmenty z teczek operacyjnej ks. Henryka Krolla z Żalna, który w latach gierkowskich był wikariuszem w Sierakowicach koło Kartuz.

Drodzy Czytelnicy! Nasze łamy są otwarte na prezentację archiwaliów, jakie fabrykowano na Was i Waszych Najbliższych w latach 1944 – 1989.

Redakcja PIP

Niedawno minęło 60 lat mojego życia. Bóg dał mi prezent: dokumenty z IPN. Postanowiłem opublikować fragmenty, które dotyczą czasów *poststalinowskich*. Nazwiska zamazane przez IPN zaznaczam: ????. Zachowałem oryginalną pisownię.

Niedawno temu na Kartuzach

Teren powiatu kartuskiego zamieszkały jest przez ludność Kaszubską, którą cechuje fanatyzm religijny. Należy zaznaczyć, że kler posiada duży wpływ i cieszy się zaufaniem wśród miejscowej ludności, dlatego też parafianie stają w obronie poszczególnych księży.

Taką samą działalność prowadzi kółka różańcowe na terenie innych parafii naszego powiatu.

Z (...) parafii gdzie próbuje się stworzyć świecki aktyw kościelny a zarazem rozwijać życie religijne należy parafia Żukowo i Sierakowice. Ks. ??? z Żukowa i ks. Król z Sierakowic od roku ubiegłego dużo czasu poświęcają pracy z młodzieżą pozaszkolną. Z młodzieżą tą spotykają się w salkach katechetycznych, wypożyczają książki o treści religijnej, wygłaszają pogadanki, wyświetlają przezroczca oraz organizują takie uroczystości, jak wspólne dzielenie się jajkiem czy też opłatkami.

Należy nadmienić, że ks. Król z Sierakowic porusza tematy polityczne nie szczędząc słów krytycznych pod adresem naszych władz ustroju i gospodarki.

Na szczególną uwagę zasługują księży młodzi wiekiem i stażem kapłańskim: Kroll Henryk i ????. Znamienym

jest, że ks. Kroll tłumaczył dzieciom na nauce religii słowo *Judasz* porównał go do dzisiejszego ORMO-wca.

Ksiądz ??? wikary parafii Sianowo w czasie ostatniej kołedy w rozmowach z poszczególnymi parafianami wskazywał na różnych przykładach, że ustrój komunistyczny, który zaczął opanowywać Polskę, w niedługim czasie musi zginąć... Urządza dla członków chóru parafialnego i kółka ministrantów pogadanki i odczyty o treści religijnej, urządza zabawy i inne rozrywki kulturalne dla młodzieży.

W czasie jednej z zabaw ksiądz ??? zwrócił się z apelem do młodzieży, by nie wstępowała do żadnych organizacji, w których nie uznaje się zasad wiary, by broniła zasad wiary i kościoła, by nie ulegała ideologii komunistów, których zadaniem jest oderwanie młodzieży od wiary i kościoła.

Ksiądz ??? we wrześniu 1958 roku wystąpił przeciwko zarządzeniu Ministerstwa Oświaty dot. zdjęcia w szkołach emblematów religijnych. Nawoływał wiernych w czasie kazania, by przeciwstawili się wykonaniu powyższego

zarządzenia.

Sprawa ewidencyjno – obserwacyjna na księdza ??? proboszcza parafii Sianowo została założona w 1958 roku....W czasie kazań nawoływał młodzież, by nie wstępowała do organizacji młodzieżowych, względnie partii, gdyż jest to równoznaczne z wyrzeczeniem się wiary.

Ks. ??? proboszcz parafii Sulęcyno w połowie 1958 roku w czasie wyświecania dzwonów powiedział, że chociaż pozbyliśmy się okupanta to jednak nie mamy prawdziwej wolności. Polską jest w dalszym ciągu krajem prześladowanym pod względem religijnym. Wzrasta bezbożnictwo, które popierane jest przez prasę, radio organizacje społeczne i partię. W kazaniach swych ksiądz ??? dość często wspominał o prześladowaniach księży w Polsce. Nawołyuje wiernych do piętnowania tych, którzy nie podporządkowują się kościołowi.

Ksiądz ??? wystąpił przeciwko wykonaniu zarządzenia Ministerstwa Oświaty dot. zdjęcia w szkołach emblematów religijnych, oświadczając w czasie kazania, że rodzice nie powinni dopuścić do wykonania powyższego zarządzenia.

Ksiądz ??? w październiku 1958 roku w czasie spowiedzi przeprowadził rozmowę z żoną tow. ??? członka egzekutywy KP PZPR w Kartuzach żądając, by wpłynęła na swego męża, gdyż postępowanie jego nie jest zgodne z zasa-

dami wiary i kościoła, nadmienił jednocześnie, że tow. ??? za dużo udziela się w pracy społecznej i może spotkać go to, co spotkało innych komunistów. Jak wynika z uzyskanych informacji ksiądz Koliński wykorzystuje ambonę, ale i konfesjonał do prowadzenia wrożej działalności skierowanej przeciwko obecnemu ustrojowi.

Księża, którzy nie podporządkowują się ogólnym przepisom administracyjnym – zarządzają zbiórki bez zezwolenia władz administracyjnych na cele kościelne i charytatywne jak to miało miejsce w Sianowie i Sulęcynie, sprawy te po odpowiednim udokumentowaniu zostały skierowane do kolegium orzekającego.

Wice dziekanem dekanatu kościelnego jest ks. ??? proboszcz parafii Sulęcyno powiat Kartuzy... Solidaryzując się z księżmi, którzy nie przestrzegają przepisów i zarządzeń władz państwowych. Był karany za budowę ogrodzenia wokół kościoła... oraz kilkakrotnie za nie składanie sprawozdań z nauki w punktach katechetycznych. Za wrogie wystąpienia z ambony Wydział ds. Wyznań udzielił mu dwu ostrzeżeń. Obawiając się trzeciego ostrzeżenia mogącego pozbawić go parafii Sulęcyno z jawnej wrogości zrezygnował.

Również brak było zainteresowania ze strony kleru V zjazdem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Np. księź z dekanatu żukowskiego zebrani na konferencji mówili między sobą, że podczas trwania Zjazdu w telewizji są same nudy i *niech Bóg da, aby się skończył, bo człowiek zupełnie zgrzybieje*. Umawiano się nawet na karty w czasie trwania Zjazdu, by jakoś z pożytkiem spędzić ten czas.

Niepokojący jest fakt, że kler katolicki potrafił sobie zjednać większość nauczycielstwa, a w tym kierowników szkół, dzięki czemu proces laicyzacji życia szczególnie w środowisku wiejskim w ogóle nie przebiega...

Nadesłał ks. Henryk Kroll

REPRESJE DUCHOWIEŃSTWA W PRL (5)

Nie czytam horrorów, ale to, co zebrał **Peter Raina** i opublikował pod tytułem **Losy siostr zakonnych w PRL. Wysłudzenie – obozy – uwolnienie. 1954 – 1956**, można by zaliczyć do tego gatunku literatury, pod warunkiem, że byłoby to fantazją autora. Niestety, tak nie jest, bo dotyczy najnowszych dzieł Kościoła i państwa.

Zapomniane krzywdy

Na dziesięciolecie Polski Ludowej, połączone siły **Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, Urzędu Bezpieczeństwa, Rad Narodowych** szczebla gromadzkiego, powiatowego i wojewódzkiego oraz aktywu robotniczego rozpoczęły dzieło dechrystianizacji i depolonizacji.

Najpierw w lipcu 1954 r. przejęto niektóre męskie klasztory w Białymstoku, Łomży, Warszawie (księża marianie na Bielanach), Krakowie i Poznaniu. Było to jednak tylko zapowiedzią tego, co miało nastąpić w miesiącu następnym. W sierpniu 1954 r. fala prześladowań dotknęła siostry: benedyktynki, boremuszki, ss. de Notre Dame, elżbietanki, franciszkanki Imienia Jezus, jadowitki, marianki, ss. miłosierdzia, ss. Najświętszej Maryi Panny, pasterkki, salezjanki, sercanki, służebniczki, ubogie pielęgniarki, urszulanki. Zesłano je do siedmiu obozów: w Wieliczce, Staniątkach, Stannikach, Kobylinie, Gostyniu Wielkopolskim, Otorowie i Dębowej Łące, w których pozostawały aż do październikowej *odwilży* 1956 roku. Zostały uwięzione i poddane marksistowskiej reedukacji, tj. indoktrynacji, inwigilacji, pracy za półdarmo. Pozbawione swobody, chorowały i umierały. Ich groby są tego świadectwem. Władza ludowa przekazała demagogicznie część mienia nieruchomego siostr: a to rodzinie robotniczej, upartyjnionej, a to na przedszkole...

Dobrze też się stało, że P. Raina zachował oryginalną pisownię i interpunkcję publikowanych dokumentów, bo nie ma powodu skrywać komunistycznej nowomowy, analfabetyzmu lub rusycyzmów państwowych urzędników. Oto kilka przykładów: *Przygotowano również ekipy rozładunkowe składające się z robotników partyjnych o odpowiednim poziomie ideologicznym* (s. 21); w innym

miejscu: *w Stalinogrodzie-Bogucicach wezwani do rozładowania robotnicy rekrutowali się spośród inteligencji pracującej* (s. 26), i jeszcze w innym domu zakonnym, z datą 31 lipca 1954 r., napisano: *nastąpił wyjazd Siostr i rzeczy* (s. 28). Należy wspomnieć, że materiały stanowiące podstawę publikacji pochodzą z archiwum Episkopatu Polski (akta oznaczone nr. 06662). W skład tomu wchodzi zarówno dokumenty Kościoła, jak i władz Polski Ludowej, a s.p. abp Bronisław Dąbrowski prosił P. Rainę o ich upowszechnienie. Wzruszającym materiałem zdjęciowym udostępniły zgromadzenia zakonne oraz wrocławskie **Oddziały Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN**. Wiadomo, że pion śledczy IPN rozpoczął śledztwo w tej sprawie, której w garnie **UB** nadano kryptonim **X-2**. Miejmy nadzieję, że nie zakończy to się tak, jak w przypadku tzw. *internowania* Prymasa Stefana Wyszyńskiego w latach 1953 – 1956, o czym już na łamach **PIP** pisano.

Historia magistra vitae est – więc, by za pół wieku znów nie zadumać się nad nowymi krzywdami, należy znać zapisek ks. bpa Bronisława Dąbrowskiego, ówczesnego Dyrektora Sekretariatu Episkopatu Polski, z rozmowy przeprowadzonej 2 sierpnia 1954 r. z Dyrektorem Urzędu ds. Wyznań Romanem Darczewskim, który tak *dzielił i rządził* losami siostr zakonnych: *Zakonnice te będą przewiezione i utrzymywane, dopiero nie dostaną pracy, na koszt Państwa. Wszystkie ruchomości mogą ze sobą zabrać. Państwo je zatrudni, nie będzie im źle. Na pewno będą do Ks. Dyrektora zjeżdżać, płakać. Proszę, abyście nie dolewali oliwy do ognia – nie podniecali. To wszystko dla dobra Kościoła* (podkr. – GK).

Grzegorz Karbowski

CZAS DAĆ ŚWIADECTWO PRAWDZIE!

Jesteśmy społeczeństwem niewdzięczników – tak przynajmniej sugerują wytrawni znawcy polityczno-gospodarczego pamasu III Rzeczypospolitej i promienni komentatorzy periodyków prasowych, powszechnie okrzyknięci jako poważne i opiniotwórcze. W znakomitej większości nie skorzystałmy bowiem z możliwości, jakie się przed nami otworzyły w nowej rzeczywistości. Skutkiem swojej karygodnej bierności większość Polaków pograża się więc coraz bardziej w nędzę, pomimo dobroczynnych zabiegów polityków różnej maści.

Potrzeba ludzi przyzwoitych

A przecież ongiś sam pan premier Bielecki (obecnie wykładowca zagranicznego uniwersytetu i szef bardzo ważnej międzynarodowej instytucji finansowej) zachęcał przez publiczne radio, abyśmy bogacili się wszelkimi sposobami. Tu zgubne okazały się m.in. głęboko zakorzenione w Polakach przesady, będące wynikiem klerykalnego wychowania. *Wszelkimi sposobami* – a więc także oszustwem, złodziejstwem, prostytucją? – Dzwil się prosty lud, nauczony przez Ciemnogród od pokoleń nawet podświadomie różnicami godziwej i niegodziwej sposoby dochodzenia do zamożności. Więc zamiast iść za wezwaniem nowych czasów, zwyyczajny człowiek opowiadał się raczej za uczciwością i pracą, którymi ludzie się bogacą, a nie za wszelkimi sposobami... Bez większego zrozumienia przyjmowano też powtarzaną wielokrotnie, acz półoficjalnie, przez Panów Liberalów tezę o pierwszym milionie, który musi być ukradziony, aby mógł powstać rodzinny kapitał...

Strach przed ulicą

I co teraz? Większość tego społeczeństwa nieudaczników, którzy nie mieli, że wzbogacić się można tylko pracą, której prawie już nie ma, bądź której wykonywanie łączy się dzisiaj niejednokrotnie z niewolniczym wysiłkiem, ośmiela się grozić rozbiciem tzw. klasy politycznej. Środkiem do tego ma być wyniesienie do władzy *człowieka z nikąd*. Statystyka wskazuje, że na społeczeństwo nie działają już żadne argu-

menty, nawet opływające nieskrywaną nienawiścią spektakle telewizyjne. Pomimo wszelkich dobrodziejstw, które (rzekomo) od 1989 r. miały spłynąć na naród za sprawą polityków różnych ugrupowań (*i prawych, i lewych*), należy się teraz poważnie obawiać, że ciemiernicy zechcą doprowadzić do rozbitcia misternego układu powstałego po Magdalenice. A w dalszej kolejności – do rozliczenia wszelkich beneficjentów tego układu.

Przypominając sobie leninowskie zawałenia: *Grab zagrabione!*, nowobogacy, w obawie przed tłumem, zamykają się w luksusowych budynkach i osiedlach *Nur für Neuerer*, pilnie chronionych przez prywatne policje. Natomiast tych, którzy tylko cokolwiek posiadają, straszy się za pomocą stugębnej plotki, że rozbewziewiony motłoch będzie ich wyrzucał z okien za posiadanie lepszego telewizora. Pobrzmiwają tu wyraźnie echa tego jednego, czego naprawdę śmiertelnie się bali promienni z czasów komunistycznych: że przyjdzie do nich ulica.

Nie potrzeba rewolucji...

Chyba nastal najwyższy czas, aby odróżnić okrzyki słusznego oburzenia od kwiku wieprzy, odciąganych od koryta – jak mawiał pewien satyryk.

Coś nie może powstać z niczego! Dlatego nikt uczciwy nie będzie chciał odbierać majątku ludziom, o których dokładnie wiadomo, że dorobili się go godziwymi sposobami. Odwołam się tu do dwu przykładów.

Na obrzeżach Warszawy od ponad półwiecza prosperuje firma produkująca zawory od silników samochodowych. W najbardziej niesprzyjających temu czasach, za głębokiego stalinizmu, te niezwykłe potrzeby na *wygodniałym* rynku części zaczął produkować w swoim warsztacie ojciec obecnych właścicieli. Władze komunistyczne pilnowały tylko, aby się zbyt nie wzbogacił. Produkcji nie zakazano, bo odbiorcami zaworów były także... garaże rządowe. Po upadku komunizmu właściciele firmy znacznie, na skalę półprzemysłową, powiększyli swoją produkcję, m.in. o zawory autoryzowane przez niemieckiego *Mercedesa*.

Przykład drugi: były wykładowca **Wojskowej Akademii Technicznej**, który za wynalazki w dziedzinie laserów otrzymał szlify generalskie, postanowił sam zająć się produkcją tych nowoczesnych i niezwykle potrzebnych urządzeń. Pomimo tego, że Profesor jest światowym autorytetem naukowym, z przyczyn finansowych aż do brych kilka lat trwała budowa niewielkiego centrum, w którym produkowane są lasery na użytek placówek medycznych, dla przemysłu i na potrzeby nauki. Teraz wyroby tej firmy poszukiwane są nie tylko na rynku polskim, lecz sprzedawane są także do wielu innych krajów.

Czy podałem tu przykłady z *Marsa*? Nie, nie wymyśliłem tego. Obie te firmy rzeczywiście istnieją, znają je przecież doskonale mieszkańcy Ursusa i jego okolic. Tam nikt nie ma wątpliwości, skąd pochodzą pieniądze właścicieli.

Przypuszczam, że każdy zna w swoim otoczeniu kilka podobnych przykładów ludzi, którzy wzbogacili się uczciwą pracą i wykazali się talentem w jakiejś dziedzinie. Nie o nich jednak chodzi!

Jak grzyby po deszczu...

W ciągu jednej nocy wyrastały – jak grzyby po deszczu – fortuny ludzi, którzy na pewno nie wzbogacili się uczciwą pracą. Pomijając zwykłych bandytów, złodziei i oszustów (którym stworzone w nowych czasach prawo zapew-

niło przez lata warunki ciepłarniane), hochsztaplerów gospodarczych (tym sprzyjało nawet przez kilka lat m.in. zlikwidowanie pionów ściągania przebiegów gospodarczych w strukturach policji), są jeszcze tysiące innych osób, które – łagodnie to określając – wzbogaciły się (i często nadal bogacą) tzw. *psim swędem*.

To w pierwszym rządzie skorpompowani politycy i urzędnicy różnych szczebli, których status finansowy znacznie przekracza oficjalnie deklarowane dochody. To także różni biznesmeni czy *działacze gospodarczy*, obracający pieniędzmi, które *wzięli z powietrza*, czyli których prawdziwe pochodzenie pozostaje dla wszystkich niewtajemniczonych nieznanne. Na koniec – *prywatyzatorzy* Polski, co do których słusznie można domniemywać, że przedkładali interes osobisty czy partyjny nad interes Skarbu Państwa. *Tych ludzi trzeba rozliczyć!* A zagrabione przez nich miliardy jak najszybciej odebrać! Chociażby dla dobrego przykładu i ku przestrodze na przyszłość dla ewentualnych naśladowców. Aby wszyscy obywatele się zorientowali, że nie był przez nich budowany żaden kapitalizm, tylko pospolicie kryminal. Długi ciąg rozmaitych *skoków na kasę*...

W imieniu Jej Królewskiej Mości

Nie nawołuję tutaj do rewolucji.

Jerzy Trammer

Teraz w pociągach

Był z tych, co sądzą – i ciągle o tym mówią – że w świecie wszystko z lepszego przemienia się na gorsze. Już nie pamiętam wszystkich przykładów i dowodów, które bez końca przytaczał w obronie swojej tezy. Jeden pamiętam dobrze, bo został mi ostatnio przypomniany.

Otóż on twierdził, że znika miłe i ufnie życie towarzyskie, podejmowane dawniej spontanicznie wśród nieznajomych.

Wystarczy wprowadzić system kontroli skarbowej taki, jaki istnieje np. w Wielkiej Brytanii. Kontrolerzy tej instytucji mają prawo odwiedzić co jakiś czas nawet prywatne mieszkanie. Każda zmiana w statusie finansowym obywatela jest przez nich dokładnie odnotowywana. Posiadanie każdej sumy pieniędzy ponad deklarowane dochody musi zostać uzasadnione (dostałem od cioci – a więc to darowizna – zatem trzeba zapłacić podatek od darowizny, spadek – podatek spadkowy, wygrałem – od udokumentowanej wygranej, udał się interes – podwyższony podatek od dochodu). Rewidenci posiadają też prawo wglądu do kont w bankach brytyjskich i Wspólnoty Europejskiej, o ile zachodzi nawet podejrzenie dokonania przestępstwa skarbowego.

Jak powiedział mi zamieszkały w Londynie kuzyn, będący z urodzenia obywatelem brytyjskim: *Z nimi (rewidentami skarbowymi) jesteś bez szans! Na cokolwiek wydasz, oni będą o tym wiedzieć. Alternatywą niezaplacenia podatku jest śmierć głodowa na sterwie zakopanego złota. Jeśli nie możesz wykazać pochodzenia pieniędzy, zostaną skonfiskowane w imieniu Jej Królewskiej Mości. A ty osobiście staniesz się automatycznie klientem policji kryminalnej...*

Czas wyrzucić zgrane karty

Czego więc w Polsce brakuje? Odpowiedź jest prosta: dobrego, spójnego prawa i uczciwych rewidentów skarbowych. Tylko tyle i aż tyle...

Ale to prawo musi ktoś ustanowić. Z doświadczenia wiemy, że na pewno nie zrobi tego żadna grupa postkomunistów, od dziesięcioleci posuwających się bez zbyteknych ceregieli do przestępczego działania w strukturach mafijnych. Nie będą to także demoliberalowie, jakkolwiek by się nie nazywali. Tu na przeszczodzie stanie chociażby ten *pierwszy milion*, który trzeba było zdobyć nieuczciwą drogą. Równie mało wiarygodni wydają się ci, którzy wycierają sobie gęby Panem Bogiem, nabijali jednocześnie kieszenie własne, pociotków i partyjnych kompanów, zarazem spychając w coraz większą biedę ogół społeczeństwa. Może tzw. *ludowcy*? – to już można uznać za czyste kpinę ze zdrowego rozsądku!

Potrzeba więc nowych ludzi. Po prostu przyzwoitych, przedkładających interes społeczeństwa i państwa ponad swój własny. Dotychczasowa klasa polityczna jako całość jawi się już bowiem społeczeństwu jak brudna talia kart tak zgranych, że nadają się jedynie do zabawy w *tysiącę* w podmiejskiej kolejce dojazdowej.

Cezary Bunikiewicz

W jego przedziale wszyscy milczeli. Dwóch panów pisało na *laptopach*, jeden coś czytał, a jeden patrzył w okno. On obserwował współpodróżnych, to zerknął na jednego, to na drugiego.

W Koninie przybył nowy pasażer i z miejsca zaczął mówić. Szybko i energicznie wyrzucał z siebie słowa.

– *Proszę o ciszę!* – wykrzyknął nagle mój znajomy.

A potem podniósł do góry prawą rękę, z dłonią ściśniętą w pięść, lecz z palcem wskazującym sterczącym w górę, i dodał smutnym głosem:

– *Teraz w pociągach ludzie nie rozmawiają. W dzisiejszych czasach ludzie w pociągach milczą.* ■

GOSPODARSKIM OKIEM

Przed każdym zakupem należy rozważyć, czy przyszłe pożytki z danej rzeczy zrekompensują z nawiazką ograniczenia wynikające z ubytku pieniędzy. Jeśli tak, to tym samym akceptując cenę, akceptujemy wszystkie jej składniki – w tym zysk producenta, który przez to staje się zyskiem godziwym.

Wojna kulturowa

Jeżeli zarobionych pieniędzy nie wydamy na zakupy i zatrzymamy w banku, to bank musi te pieniądze powierzyć jakiemuś przedsiębiorcy, by ten przy ich pomocy wypracował dochód. Bank oczywiście wybierze tego, który sprzedaje swoje towary z zyskiem. W takim systemie, czy wydamy pieniądze, czy też będziemy je oszczędzać, zawsze trafią one do tych producentów, którzy chcą zaspokoić nasze potrzeby osobiste. W ten sposób gospodarka uzależnia się od tradycji kulturowych społeczeństwa i służy mu, bo decydujące o wyborze towaru czynniki estetyczne, prestiżowe i w znacznym stopniu praktyczne wynikają z naszej kultury. Jeśli na rynku jest dużo atrakcyjnych towarów, to w bankach jest mniej pieniędzy, bo ludzie nie oszczędzają, kredyt staje się trudniejszy i spadają inwestycje. Jak towary na rynku przestały być interesujące (np. *opatrzyły się*), to w bankach jest więcej pieniędzy, ale nie mają one komu ich pożyczyć, bo mało kto ma wystarczające zyski. Wtedy robi się miejsce dla nowych producentów, z nowymi pomysłami, których rozwój daje *wzrost gospodarczy*. Oprócz pojęcia własności indywidualnej, najważniejszymi skutkami społecznymi systemu opartego o postulat przemożności jest wysoka pozycja społeczna i materialna wynalazców, inżynierów i rzemieślników – słowem ludzi zyskiwających – i malejąca pozycja starych elit społecznych oraz administracji państwowej, na którą w tym systemie nie ma dużo miejsca. System ten istniał do wielkiego kryzysu. Społeczeństwa były dynamiczne jak nigdy. Zdarzały się błyskawiczne kariery i upadki, lecz w sumie coraz liczniejszej grupie ludzi żyło się godziwie.

System ten zachwiał się w czasie tzw. *wielkiego kryzysu* w USA, w latach 20. ub. stulecia, gdy ludzie masowo zapragnęli wycofać swoje pieniądze z banków. Okazało się, że jest to niemożliwe, bo te pieniądze zostały powierzone przedsiębiorcom. W rezultacie doszło do zamknięcia banków i masowego wypowiedzania umów kredytowych, bo zabrakło pieniędzy na ich udzielanie. Było wiele bankructw, bezrobocie i zastój gospodarczy na niskim poziomie.

By spowodować ożywienie, postanowiono, że państwo odstąpi od postulatów przemożności i wyemituje wycofane z rynku przez ludzi pieniądze, a następnie puści je w obieg. Uznano, że najlepszym sposobem emisji będą roboty publiczne, czyli budowa autostrad, zapór wodnych itp. Sposób ten zaczęto stosować w USA i później – ale na szerszą skalę – w krajach europejskich. Pojawili się jednak z początku lekceważony problem: które miasta połączyć autostradą, skoro żadna nie była jeszcze ówczesnie nikomu tak potrzebna, by chciał na nią wydać pieniądze. Nie przywiązywano do tego żadnej wagi, bo z punktu widzenia celu działania państwa było to obojętne, byleby doszło do wydatku i do emisji pieniądza. Nie było to jednak bez znaczenia dla beneficjentów tego wydatku. Miasta połączone autostradami mogły się szybciej rozwijać, bo były wygodniejsze, firmy budowlane mieszczące się w tych miastach mogły zatrudnić ludzi, kupować sprzęt i osiągać tym samym przewagę rynkową nad konkurencją. Wraz z rozpoczęciem robót publicznych, celem działania wielu firm przestał być produkt, a stały się – koneksje polityczne. Z drugiej strony administracja państwowa, by zarządzać

tymi robotami, powołała stosowne instytucje. W ten sposób doszło do rozpadu społeczeństwa, bo powstała nowa, duża i wpływowa grupa społeczna, żyjąca wbrew naturze – z wydawania państwowych pieniędzy, dzisiaj zwana sektorem publicznym. Wytworzyła się też swoista subkultura tych ludzi, będąca w opozycji do tradycyjnych wartości. Żaden bowiem zysk wygenerowany w tym sektorze nie był godziwy, nie tylko dla tego, że nie mógł mieć społecznie akceptowanej wyceny, która może być dokonana tylko na rynku detalicznym, ale dlatego, że wydatki publiczne dokonywane były pod przymusem. Możliwość emisyjne państw stosujących tę politykę szybko się wyczerpały i sektor publiczny trzeba było sfinansować z podatków. Stał się on przymusowym kosztem dla sektora rynkowego. Podatnicy zostali przymuszeni do pokrywania kosztów robót i zamówień publicznych. Wymogli więc stosowanie przetargów, co zakwestionowało społeczny sens istnienia sektora publicznego. Warunkiem bowiem wygrania przetargu zawsze jest w końcu najniższa cena, czyli ta, która nie zawiera w sobie zysku. Kiedy przedsiębiorstwo nie ma zysku, to nie ma możliwości inwestowania i pozostaje w stagnacji. Jeśli sektor takich przedsiębiorstw obejmuje znaczną część gospodarki, to mamy stagnację strukturalną.

Ludzie żyjący z sektora publicznego wiedzą, że są i będą kulą w nogi reszty społeczeństwa, bo nie można sformułować formalnego (logicznego) kryterium przyznawania przez urzędy godziwego zysku przedsiębiorstwom, skoro jest on pojęciem emocjonalnym, a urzędy emocjom nie podlegają. To rodzi ryzyko likwidacji tego sektora jako przeszkody w rozwoju gospodarczym. Chyba, że udało by się zakwestionować tradycyjne wartości, które uznają postulat przemożności, czyniący z emocji wartość ekonomiczną, i wprowadzić na to miejsce postulat racjonalnego zagospodarowania posiadanych środków, a dążenie do radości życia zastąpić poczuciem bezpieczeństwa (dla niektórych). O to toczy się wojna kulturowa.

Paweł Gospodarski

Za koszmarnych czasów komuny co i rusz czytaliśmy w *Prawdzie*, albo i w *Trybunie Ludu*, jaką to nędzę cierpią ludzie nie tylko w wyzwalającym się z Jarzma kolonializmu Trzecim Świecie, ale i w rękomo bogatych państwach kapitalistycznych. *One – tłumaczyli rozmaiti bywalcy – są bogate tylko na pokaz, podczas gdy naprawdę to kapitaliści czyni wysysają z ludu pracującego miast i wsi krew serdeczną, a wysane zwłoki wyrzucają na śmietnik historii, od czego rosnie tylko zaniedbanie środowiska naturalnego. Na tłumaczeniu tych spraw porobili fortuny różni prawdziwie, aż wreszcie nastąpiła transformacja ustrojowa. Dotychczasowi szermierze socjalizmu wzięli się za budowanie od podstaw ustroju kapitalistycznego, który aczkolwiek nigdy zasadniczo nie był postępowy, w ostatecznym rozrachunku okazał się postępowy i zasadanico postępowy. Wszystko to są rzeczy oczywiste dla człowieka otrząskanego z dialektyką marksistowską, ale nie o to chodzi, tylko o odpowiedź na pytanie, czy teraz jesteśmy bogatsi niż wtedy, czy biedniejsi?*

Biedni czy bogaci?

W początkach lata zaproszony byłem na wieś, na wesele. Dziadek pana młodego, z którym gawędziłem sobie pod kościołem, skarżył się na panującą dziś biedę. – *Panie Edwardzie* – wskazałem na kilkadziesiąt niezłych samochodów, którymi przyjechali do kościoła weselni goście: – *Niech się pan nie gniewa, ale to nie wygląda na biedę, te samochody.* – *No niby tak* – zgodził się uprzejmie mój rozmówca – *ale bieda jest...*

Okazuje się, że bieda może doświadczać nawet przy zewnętrznych znamionach zamożności. Kiedyś nazywało się to *blyszczącą nędzą*. Pozory są mylące, o czym wiedział dobrze sam Mahatma Gandhi, zwracając się w przystępniej szczerości, że nie jest tak kosztowne, jak stworzenie wrażenia ubóstwa i prostoty. Tym bardziej intrygujące staje się w tych okolicznościach pytanie, jak jest naprawdę: czy jesteśmy dziś bogatsi, czy biedniejsi niż kiedyś?

Ponieważ zbliżają się wybory, partie polityczne narzucają się wyborcom, zachwalając swoje programy, niczym przekupnie – maści na szczyry. Działacz – przedstawiający w telewizji program budowy tanich mieszkań zaproponowany przez *Prawo i Sprawiedliwość* – stwierdził, że dzisiaj nie stać nas na budowę mieszkań na zasadach rynkowych. Dlatego też *PiS* zaproponowało nie jakiś tam rynek, tylko od razu cały system z udziałem budżetu. System polega na tym, że obywatel pragnący wy-

budować sobie mieszkanie zgłasza się do systemu (cokolwiek by to miało znaczyć) i otrzymuje z banku kredyt. Za pożyczone od banku pieniądze budowane jest mieszkanie, na którym bank ustanawia hipotekę jako zabezpieczenie kredytu. Do tej pory niczym się to nie różni od zasad rynkowych. Kiedy jednak mieszkanie zostanie zbudowane, obywatel – chcący przenieść się do nowego mieszkania, musi: po pierwsze – przekazać do systemu mieszkanie zajmowane dotychczas, a po drugie – budżet spona bankowi odsetki od kredytu. Tak wygląda budowa *tanich* mieszkań, na które będzie nas stać, w odróżnieniu od mieszkań budowanych w *systemie rynkowym*, na które już by nas stać nie było, przynajmniej zdaniem *PiS*.

System rynkowy polegał na tym, że obywatel budował sobie mieszkanie albo za gotówkę, albo brał kredyt bankowy, albo wreszcie nie zwracał sobie głowy budowaniem mieszkań, bo wolał je sobie wynająć u *krwiopijcy* kamienicznika. Warto zwrócić uwagę, że w takim systemie, właśnie *rynkowym*, budowane były i chłopskie chaty i kamienice w miastach, i w ogóle całe miasta. Nie ulega wątpliwości, że zarówno wsie, jak i miasta istniały na świecie od czasów starożytnych, a skoro tak, to nieomylnie to znak, że i w Starożytności i w Średniowieczu, a także w czasach nowożytnych, ludzi stać było na mieszkania budowane w systemie rynkowym. Gdyby było

inaczej, nie byłoby ani wsi, ani miast, to chyba jasne? Skoro tedy dzisiaj nie stać nas na takie luksusy, to nie da się ukryć, że jesteśmy biedniejsi od naszych przodków. Może ktoś powiedzieć, że dzisiejsze mieszkania są bogaciej wyposażone od mieszkań – dajmy na to – średniowiecznych. To oczywiście prawda, ale trzeba też powiedzieć, że od czasów średniowiecznych wydajność pracy, a zwłaszcza jej techniczne uzbrojenie – zwiększyły się bez porównania, tak że istniejąca rzeczywista różnica standardów możemy w tych warunkach śmiało pominąć. Zatem jesteśmy biedniejsi, mimo gigantycznego wzrostu wydajności pracy? Na to wygląda, chyba, żeby działacze *Prawa i Sprawiedliwości* się mylili.

Trochę światła na tę wątpliwość rzuciła informacja o wysokości podatków. Centrum Adama Smitha każdego roku ogłasza, kiedy przypada dzień wolności podatkowej jako zabezpieczenie kredytu. W tym roku przestajemy pracować na podatki i zaczynamy pracować dla siebie. W roku 2004 przypała on 24 czerwca, ale przed dwoma laty – 6 lipca. W każdym razie pojawia się on w połowie roku, co oznacza, że państwo odbiera nam w podatkach aż połowę bogactwa, jakie wytwarzamy. Jeśli do podatków dodamy inne, przemocą ściągane świadczenia, to okazuje się, że statystycznej rodzinie pracowników najemnych państwo odbiera aż 83 proc. rocznego dochodu. Te 17 proc., które jej pozostaje, może rzeczywiście nie wystarczać na sfinansowanie własnego mieszkania w *systemie rynkowym*.

No tak, ale nietrudno zauważyć, że jedną przyczyną tego stanu rzeczy jest okoliczność, że oblaży nas pasażerzy, które odbierają nam coraz więcej pieniędzy, a w zamian, zwłaszcza w okresach poprzedzających wybory, dostarczają nam w wielkiej obfitości różne programy przychylenia nam nieba na koszt *budżetu*. Za pośrednictwem *budżetu* bowiem stać nas na wszystko, a nawet na jeszcze więcej. Nasi dobroczyńcy takto wiec już nam nie przypominają, że ten *budżet* też jest tworzony z naszych pieniędzy. Na *budżet* stać nas zawsze.

Stanisław Michalkiewicz

Terroryzm właśnie staje się lub już jest najpoważniejszym wyzwaniem, wobec którego staje wiele rządów, a także regionów, narodów, społeczeństw, a nawet religii, coraz bardziej z terrorem się kojarzących.

Terrorystyczne wyzwanie

Okazało się, jak naiwnym był poglądem, że upadek sponsoringu ze strony sowieckiej lub sowieckich klientów np. pułkownika Kaddafiego, doprowadzi do wyeliminowania tej plagi – chociaż przez pewien czas tak się wydawało. Terrorysty znaleźli nowe źródła zasilania, a liczba ich ofiar dramatycznie rosła, co powoduje, że mamy do czynienia z nową jakością starego przecięź zjawiska. W pewnym stopniu spełniają się najczarniejsze przepowiednie formułowane w związku z atakiem w dniu 11 września 2001 r., że o ile wiek XX był czasem totalitarnych dyktatur, zorganizowanych ideologii, nazizmu i komunizmu, to wiek XXI staje się wiekiem wyjątkowego w swoim bestialstwie – na razie głównie islamskiego, ale przecież za chwilę może się okazać, że także innego – terroryzmu.

W mętnych przepowiedniach Nostradamusa, niektórzy traktują je jako zapis historii świata (moim zdaniem są one jeszcze jednym przykładem towarzyszącego ludzkiem dziejom odejścia od racjonalnego myślenia), jest podobno zapis o kolejnej wojnie światowej – zaczynającej się od małego kraju na Bliskim Wschodzie – wojnie religijnej, konflikcie cywilizacji. Dla wielu ludzi to, co się dzieje na świecie, może się wydawać potwierdzeniem tego scenariusza. W obliczu tragicznych wiadomości napływających z Iraku łatwo krytykować decyzje Ameryki o obaleniu Saddama Husajna, ale dziś wycofanie wojsk koalicji oznaczałoby wydanie na rzeź tych wszystkich Irakijczyków, którzy zaufali Zachodowi, zaangażowali się w budowanie demokratycznego państwa.

Byłby to wielki triumf terrorystycznej międzynarodówki, która dokonałaby krwawego odwetu najpierw w samym Iraku, później w innych krajach. Próbkę takiego odwetu mieliśmy okazję oglądać w tych miejscach, gdzie władzę przez pewien czas sprawowali np. ludzie Mukady as Sadra, zaczynając swoje rządy od budowania własnych więzień, sal tortur i od egzekucji przeciwników. Wycofanie polskich żołnierzy, do czego nawołują niektórzy politycy bezprogramowych i szkodliwych dla Polski partii, w dodatku bezradnych wobec realnych problemów i wyzwań, byłoby pierwszym chyba w historii naszego kraju przypadkiem, że Polska porzuciła sojusznika na polu walki. Do tychczas to sojusznicy zawsze porzucali nas. Ale nie sądzę, aby akurat Irak był dobrym czasem i miejscem historycznego rewanżu, np. za zdradę Francji we wrześniu 1939 r., jałtański rozbiór naszego kraju, albo bierność Churchilla i Roosevelta w obliczu tragedii *Powstania Warszawskiego*.

Na naszych oczach politycy zdają egzamin z odwagi, odpowiedzialności, zdolności przewidywania, także patriotyzmu i humanizmu. Terrorysty nie mają sumienia, są zbrodniczymi doktrynerami, takimi samymi jak nazisci i komuniści. Podobno jeden z nich, który osobiście ucina głowy zakładnikom i który nie zasługuje, aby jego imię wymawiać, twierdzi, że zgodnie z Koranem akurat taki sposób mordowania jest prawidłowy. Powoływanie się na Boga przy mordowaniu jest bluźnierstwem. Tak twierdzi też wielu duchownych muzułmańskich, mówiących o ciężkim znieważeniu islamu, który – jak każda wielka religia objawiona – jest religią miłości Boga i bliźniego. Ale tak, jak dzięki determinacji przeciwników upadły barbarzyństwa XX wieku, tak samo w moim przekonaniu upadnie terroryzm, wobec determinacji ludzi pragnących ocalić naszą kulturę i cywilizację. Chodzi jedynie o to, aby tej determinacji nie zabrakło.

Na tym tle jasne jest stanowisko Ojca Świętego, który wzywając do pokoju i modląc się w intencji ludzkiego życia – zarówno nienarodzonych dzieci, jak i błagających o litość zakładników – przypomina, że konieczne i niezbędne jest likwidowanie przyczyn, które rodzą terroryzm. Trudno oczekiwać, aby Ojciec Święty mówił o konieczności bombardowania kryjówek terrorystów i zaletach policyjnych operacji. Stanowisko Papieża – przeciwnego każdej wojnie, przemocy, karze śmierci, łamaniu ludzkiej godności i odpowiedzialności zbiorowej – jest dziś jedną z przesłanek nadziei w zmaganiach z nowym zagrożeniem i wyzwaniem. Sprowadza ono problemu terroryzmu tylko do użycia siły jest takim samym uproszczeniem i w konsekwencji złudzeniem, jak nadzieje na likwidację przemocy, nędzy i wojen (w skrócie – koniec historii) wraz z upadkiem totalitarnych dyktatur. Nikomu nie udało się udowodnić marksistowskiej tezy o zdeterminowaniu procesów historycznych i ich nieuchronności, byłoby to możliwe tylko wówczas, gdyby można było zdecydować przyszłość, co jeszcze nikomu się nie udało. Dlatego równie dobrze, jak powstanie imperium rosyjskiego w wyniku zwycięstwa Piotra I pod Połtawą, czy powstrzymanie inwazji muzułmanów na Europę w bitwie pod Poitiers, co wyznaczyło historię Europy i świata, możliwy był także zupełnie inny bieg wydarzeń. Nic nie jest zdecydowane i rozstrzygnięte, a ostatecznie tak, jak losami jednostek, tak samo Bóg włada losem narodów. Dlatego walka z terroryzmem możliwa jest do wygrania, zależy to od zdecydowania, rozsądku, mądrości i odpowiedzialności narodów i polityków, także od nas.

Stefan Niesiołowski

W prasie komercyjnej – szczególnie kolorowych pismach profilowanych – można często natrafić na teksty dziennikarskie, promujące zakup określonych produktów (oczywiście pod pozorem ich prezentacji jako nowości na rynku). Czasami opisy nie ograniczają się jedynie do krótkiego zachęcenia, ale w dłuższym artykule ukazują *wspaniałą i sprawną* działalność firmy, określanej jako *potentat na rynku w swojej branży*, albo poświadczone są jej *rewelacyjnym* produktem. Obok tekstu brakuje oczywiście napisu kto jest sponsorem, a w tym samym numerze możemy bez trudu odnaleźć także płatne strony reklamowe promujące produkty tej firmy. Ten proceder oszukiwania odbiorców przez publikację artykułów *peanów* nazywa się w legislacji **Unii Europejskiej ukrytymi advertorialami**.

Ukryte advertoriale

Na początku jesieni oraz w czasie przedświątecznym pojawia się zjawisko tzw. *clutteru*, czyli natłoku i nadmiaru danych. Reklamodawcy szukają więc innych sposobów dotarcia z ofertą reklamową do odbiorców. Wprowadzone od 1 maja ograniczenia emisji reklam telewizyjnych – w związku z dostosowaniem naszego prawa do wymogów UE – stały się dodatkową przyczyną poszukiwania nowych metod promocji w sposób bardziej zdeterminowany.

Jedną z bardziej atrakcyjnych form są *advertoriale* – w świecie popularne od dawna, jednak coraz powszechniej stosowane również w Polsce. Dla przykładu: brytyjskie badania wykazały, że tekst redakcyjny, opisujący w sposób pochlebny produkt, ma dziewięć razy większy wpływ na wybór modelu samochodu przy jego zakupie, niż zamieszczona w tym piśmie reklama. Oznacza to nie tylko ogromną odpowiedzialność za słowo, ale także stwarza niebezpieczeństwo nacisków, wywieranych przez firmę na dziennikarzy.

Jest wiele *pozytywnych* skutków publikacji ukrytych *advertoriali*. Umieszczenie przez producentów różnych dóbr – wiarygodnego tekstu dziennikarskiego w określonych mediach wydaje się być idealnym rozwiązaniem dla wszystkich... Media dysponują dodatkowym źródłem dochodów, producent obniża koszty produktów, dzięki czemu mogą być tańsze (więcej ludzi w wiarygodny sposób zostaje przekonanych do ich nabycia), a odbiorcy wydają mniej pieniędzy.

W dłuższej perspektywie okazuje

się jednak, iż media tracą swoją wiarygodność, a czytelnik gazety nie musi jej już kupować, gdyż niewiele różni się od folderów reklamowych wrzucanych do skrzynek za darmo... Producenti jednorazowo zwiększają zyski, lecz niepoprawnie wycenione produkty rozczarowują klientów. Wprowadzony w błąd konsument dokonuje złych decyzji rynkowych i w konsekwencji – rynek źle funkcjonujący przynosi producentom straty zamiast korzyści.

Z wagi problemu *przekupywania mediów* zdała sobie sprawę *Unia Europejska*, która jesienią tego roku przyjęła dyrektywę o przeciwdziałaniu nieuczciwym praktykom w biznesie. Państwa członkowskie będą zaś zobowiązane do wprowadzenia w życie prawa

egzekwującego te wymogi i nakładającego odpowiednie kary za brak ich przestrzegania. Do czasu wprowadzenia w życie tej dyrektywy, odbiorcy sami mogą weryfikować materiały dziennikarskie, przyglądając się ich treści. Wystarczy uważnie czytać artykuły i pamiętać o zasadzie obiektywizmu, a więc krytycznego spojrzenia na omawiane zagadnienie – ujmujące temat zarówno od strony pozytywnej, jak i negatywnej. Jest to o tyle ważne, iż od wpływu reklamy bardzo trudno się uwolnić nawet specjalistom pracującym w tej branży. Oddziaływanie perswazji ukrytej pod pozorem obiektywizmu jest zaś tym bardziej niebezpieczne, iż decyduje ona o dokonywanych wyborach człowieka i odbiera mu wolność.

Monika Przybysz



Dot. P. Złoteński

OKIEM ŻUKA

TiVi-terapia

Spostrzegłem niezwykle działanie *TV* na zdrowie człowieka. Otóż wszyscy ci, których *TV* nam pokazuje – czy to aktorzy, czy bliżej nie znani ludzie, którzy reklamują przeróżne leki – natychmiast po ich zażyciu tryskają zdrowiem, napelnia ich młodzieńcza werwa, przechodzą im bóle głowy, wątroby, zaparcia, ustaje katar, zapominają, co znaczy stercz, serce ich bije niczym dwa serca, ich dzieci uodparniają się na wszelkie bakterie i wirusy – jednym słowem dochodzą do przekonania, że wszystkie ich składki na służbę zdrowia i opiekę lekarską to roztrwonione pieniądze. Jeśli o czymś myślą, to nie o kasach chorych, ale o kasach zdrowych, które mogłyby im płacić za reklamę ich zdrowotności. Są tak zdrowi, że aż lekarzom przykro patrzeć – więcej takich, a z bankrutowaliby, bo nie mieliby kogo leczyć.

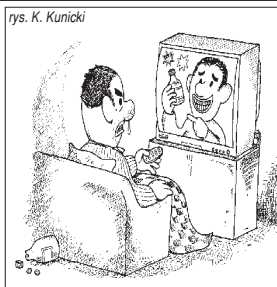
Czym byli przed spożyciem reklamowanych pigułek, kropli, nacieraniem się odpowiednią maścią? Aż strach pomyśleć o tych ludzkich wrakach, które

chwiali się i kolebały na naszych drogach, bezdrożach i ulicach.

Zadziwiająca dla lekarzy jest to, że ci, którzy używają tych wspaniałych leków, a nie występują w telewizji, niekoniecznie idą w ich ślady. Może lękają zbyt małe dawki, może do zadziałania leku niezbędne jest uchwycenie chorego w teleobiektyw kamery, nim rzuci się obraz na mały ekran?

Jedno jest pewne: z tamtej strony tegoż ekranu mamy uśmiechniętych, wygimnastykowanych mężczyzn i kwitnące zdrowiem kobiety, a z tej naszej, domowo-pokojowej strony ekranu, działanie tych leków jest na tyle osłabione, że trzeba by je brać miesiącami, aby spodziewać się ledwie poprawy. A o kondycji tych, którzy pedałują na rowerach, robią salta w miejscu, fotografują się zawieszani na czekaniu u pionowej ściany jakiegoś wierchu, nawet nie ma co mówić.

Ze względu na moją zgagę, bóle głowy, bóle mięśniowe, zaparcia, łupież, żyłaki, uporczywe przeziębienia (fakt,



że mam zmarszczki), włosy moje, które nie są lśniące, uprzejmie proszę o pół etatu w *TV*, abym chociaż połowicznie mógł – jako herold-prezenter – wyleczyć moje dolegliwości.

Gdy dostanę następne pół etatu, dobię je do końca. I mam nadzieję, że póki będę zachwalał to i owo z małego ekranu, będę się cieszył absolutnym zdrowiem i nie będę sprawiał żadnych monetarnych kłopotów żadnym **ZOZ**-om, które mógłbym narazić na stres, wynikający z tego, że nie mają za co mnie leczyć. Pozostaje w oczekiwaniu odpowiedzi.

Żuk

Dane osobowe oddaję w redakcji

NASZE LEKTURY

Skrzydła Pegaza

Długa byłaby lista prasowych tytułów, na łamach których poeta, prozaik, krytyk literacki, ale przede wszystkim dziennikarz – Zdzisław Łączkowski, na przekór cenzorskim zapisom i politycznym barierom, pisał o twórczości poetów w sutannach i poetek w habitach.

Część tych w setki liczonych szkiców i recenzji, przybliżających pisane przez księży i zakonnic wiersze i poematy, zawarł w tomie *Wolność nie zniwoloną*, o którym głośno było pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Teraz wiedziony tą samą, pokorną fascynacją utworami powstającymi w zaciszu ple-

banii, czy klasztornych cel – ogłosił słownik osób duchownych piszących wiersze, zatytułowany: *Poeci pańskiej woinicy*.

Publikacja, wydana przez Staromiejski Dom Kultury w Warszawie, przynosi prawie dwieście nazwisk. Są tu krótkie biogramy i największych – Ojca św. Jana Pawła II, który pisał wiersze jeszcze jako nikomu nieznanemu wikariusz z podkrakowskiej Niegowicy, bpa. Józefa Zawitkowskiego, ks. Jana Twardowskiego, niezjącego ks. Janusza St. Pasierba, ks. Jerzego Czarnoty, o. Elżgusza Dymowskiego OFM, s. Bożeny Anny Flak CSFN czy s. Urszuli Micha-

lak USJK – jak i tych, dla których fruniecie na skrzydłach Pegaza jest formą dopełnienia kapłańskiego czy mniszego posłannictwa.

Encyklopedyczne noty rysują życiowe drogi, ale też przypominają dotychczasowy twórczy dorobek każdego z prezentowanych autorów oraz tytuły prasowe, które udostępniały im miejsca. Nam jest o tyle miło, iż wielki procent autorów, których odnotowuje w swym słowniku Zdzisław Łączkowski, gościł na łamach *PiP* w cyklu *Prezentujemy*, lecz także i dlatego, że jak się okazuje i michalicka wspólnota ma w swych szeregach artystów poetyckiego słowa – ks. Dariusza Kielara CSMA, ks. Wiesława Daniela Szpilę CSMA oraz s. Dawidę Ryll CSSMA.

Paweł Smogorzewski

CHWILA MUZYKI

Lenistwo artysty

– *Cóż może być przyjemniejszego, niż być artystą?* – myślą szeregowi członkowie społeczeństwa i masowo dążą do tego, aby ich dzieci i wnuki mogły demonstrować swoje rzeczywiste lub urojone talenty. Czynne uprawianie sztuki, zwłaszcza na poziomie amatorskim, daje ogromną radość i może skutecznie konkurować z innymi rozrywkami, a nawet z użytkami. Nic nie da się porównać z poczuciem mocy, jaka ogarnia artystę po udanym koncercie, wystawie lub spektaklu. Jednakże mało kto zdaje sobie sprawę, że – jak każda dziedzina działalności człowieka – również sztuka niesie ze sobą ogromne ryzyko, któremu na imię – lenistwo.

Maurycy Ravel ujął to zwięźle: – *Talent to siadanie codziennie o tej samej godzinie do pracy... – Cóż prostszego!* – wykrzyknik zapewne Szanowny Czytelnik – *Robię to codziennie od x lat!* Nie jest to jednak to samo. Nie zawsze zda-

jemy sobie sprawę, jak bardzo pomocne w naszym bytowaniu są mniej lub bardziej delikatne zewnętrzne przymusy, którym ulegamy: konieczność zarabiania pieniędzy, konieczność załatwienia istotnych spraw lub choćby konieczność podpisania listy obecności – naprawdę pomagają nam w podjęciu codziennie tak samo dramatycznej decyzji: *podejmuję trud, czy też go nie podejmuję?*

Wyobraźmy sobie, że zostajemy nagłe bez opisanych powyżej zewnętrznych konieczności. Ilu z nas i jak długo pracowaliby tak samo ciężko, wydajnie i systematycznie, jak pracuje dziś? Tymczasem muzyk, od wczesnej młodości, wkłada ogromny wysiłek w pracę, która, tak naprawdę, nikomu nie jest za bardzo potrzebna, z której nikt go nie rozliczy, a która wymaga stu procentowej koncentracji. Jeśli *odpuści* – świat się przecież nie zawali. Tym bardziej, że zawsze

gdzieś w podświadomości tkwi typowo ludzkie zwątpienie we własne możliwości. To właśnie powoduje, że w szkołach artystycznych jest tak duży odsetek adeptów, którzy na różnych etapach rezygnują z uprawiania sztuki. Podtrzymywanie w sobie, dzień po dniu, niezachwianego przekonania o nieodpartej konieczności uprawiania sztuki, podtrzymywanie w sobie wiary w samego siebie – jest w istocie tym wysiłkiem, który przekracza wytrzymałość przeciętnego zjadacza chleba.

Dlatego nie należy dążyć do wprowadzenia modnego dziś *beztresowego* modelu edukacji – do szkół artystycznych. Wręcz przeciwnie, uczniom należy od razu zderzyć z tym, co będzie w przyszłości ich chlebem powszednim: że artystą się *bywa* od czasu do czasu, zaś większą część życia upływie im na cierpliwym *siadaniu do pracy* i oczekiwaniu na te momenty natchnienia. Jeśli nie mają do tego talentu – niech od razu zajmą się biznesem, polityką, pracą fizyczną lub naprawianiem świata.

Maria Szreder

PLASTYKA

Kustosz Kresów

Najpierw była młodzieńcza fascynacja bogatą i bujną kulturą polskiego kresowego ziemiaństwa, później wojna, a po wojnie tytaniczna praca, której rezultaty przez dziesiątki lat znane były tylko niewielkiej grupie osób. Kustosz **Zakładu Narodowego im. Ossolińskich** we Wrocławiu, Roman Aftanazy (ur. 1914 r. – zm. 2004 r.), swoje pionierskie dzieło, jedenastomowe opracowanie zatytułowane *Materiały do dziejów rezydencji*, zobaczył w druku dopiero w połowie lat 80-tych ubiegłego stulecia. Liczące sobie zaledwie 500 egzemplarzy wydanie opublikował Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, którego dyrektorem był wtedy prof. Stanisław Mossakowski. Enigmatyczny tytuł oraz historyczne podziały terytorialne odsunąć miały od tego poważnego, naukowego dzieła wszelkie podejrzenia natury politycznej, związane ze wschodniokreso-

wą tematyką książki, tematyką, na którą bardzo uczulone były komunistyczne władze PRL.

Nim z Romanem Aftanazym spotkałem się osobiście w jego niewielkim wrocławskim mieszkaniu, przez szereg lat ze sobą korespondowaliśmy. Należałem do grona adresatów jego listów, których w sprawach wschodnich rezydencji ziemiańskich rozesłał w ciągu czterdziestu lat, jak sam obliczył, kilkadziesiąt tysięcy. Cierpliwie domagał się dokładnych odpowiedzi na opracowany przez siebie kwestionariusz. Zawierał on szereg pytań dotyczących nie tylko kształtów architektonicznych budowli mieszkalnych i budynków gospodarczych, ale także otoczenia parkowego, dekoracji i wyposażenia wnętrz, zbiorów i kolekcji oraz informacji historyczno-genealogicznych o właścicielach rezydencji i ich rodzin. Roman Aftanazy zgromadził i opracował

w ten sposób dokumentację omawiającą prawie półtora tysiąca polskich rezydencji kresowych. Książka stała się wydarzeniem naukowym, wyróżnionym nagrodą ministra Kultury i Sztuki, nagrodą Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, nagrodą Polskiej Akademii Nauk (tę ostatnią w 1990 r. autor w całości przeznaczył do wysyłania do polskich skupisk i parafii w ZSRR). Powszechnie zainteresowanie dziełem Romana Aftanazy skłoniło **Wydawnictwo Ossolineum** do wydania 11-tomowej, przedregowanej, drugiej edycji tej pracy, pt. *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. Obecnie już kompletnie niedostępnej w księgarniach.

Roman Aftanazy, autor *nieopisanej wagi dzieła dla całej rodziny nauk historycznych*, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, pracownik **Ossolineum** we Lwowie i Wrocławiu, ten ostatni kustosz polskiego dziedzictwa kulturalnego na kresach Rzeczypospolitej, zmarł 7 czerwca 2004 r.

Jarosław Kossakowski

PRZEGLĄD PRASY

Nie ma dnia, aby prasa nie ujawniała coraz to nowych dowodów korupcji, powiązań polityków z biznesem i przestępcami, złodziejstwa na wielką skalę oraz zaskakujących przykładów bezkarności ludzi powiązanych z władzą. Oczywiście pisze się o tym w sposób ogólny, by nie narazić się na długotrwałe i kosztowne procesy. Powiada się więc o tajemniczych okolicznościach albo dziwnych zbiegach okoliczności, a zamiast słowa kradzież używa się nagminnie wyprowadzenie. Oczywiście te tajemnicze okoliczności powodowane są w białych rękawiczkach i zgodnie z prawem, tyle że dziwnym zbiegiem okoliczności państwo (czyli my – podatnicy) traci na tym ogromne pieniądze, idące rocznie w dziesiątki miliardów złotych.

Zgotowaliśmy sobie ten los

Oto na przykład, o czym informowała *Rzeczpospolita*, że stocznia w Szczecinie wyprowadzono 10 milionów złotych. Ale dokąd te pieniądze zawędrowały i kto je tak elegancko wyprowadził? Oczywiście – nie wiadomo. Nie słychać na razie, aby którykolwiek z owych wyprowadzaczy (kiedyś nazywano ich po prostu złodziejami) został aresztowany i postawiony przed sądem, orzekającym – przypomnijmy – w imieniu Rzeczypospolitej.

Przy okazji afery związanej z bezprawnym aresztowaniem prezesa PKN *Orlen Gazeta Wyborcza* ujawniła wiele dziwnych faktów, związanych z handlem paliwami. Założona przez ludzi spoza branży naftowej firma *J and S Service and Investments z Cypru w tajemniczych okolicznościach stała się głównym dostawcą ropy naftowej do Polski*. Ale mało tego. Ta niewielka firma posiada tylko 3,85 proc. akcji *Naftoportu*, ale tylko ona, spośród wszystkich pozostałych udziałowców, ma prawo pierwokupu, gdyby ktoś inny wystawił swoje udziały na sprzedaż. Tymczasem państwowy *Orlen* ma 48,7 proc. akcji *Naftoportu*, zaś grupa *Lotos* – 26 procent. Skąd więc ta monopolistyczna pozycja mikroskopijnego akcjonariusza? Czy znowu należy mówić o tajemniczych okolicznościach, czy może należy zobaczyć, czyje podpisy figurują pod tak niekorzystną (czytaj: złodziejską) dla naszego państwa umową?

Warto wiedzieć, że *Naftoport* ma

niezwykle ważne, bo strategiczne, znaczenie dla bezpieczeństwa Polski. Gdyby bowiem Rosjanie zakreśli kurek na rurociągu *Przyjaźń*, tylko przez *Naftoport* można sprowadzać do kraju wystarczające ilości ropy. Autor artykułu stwierdza, że aby odzyskać kontrolę nad *Naftoportem*, państwo musi mieć co najmniej 51 procent jego udziałów. I pyta: *Jak je uzyskać?* Ba! Nie da się tego zrobić bez zgody *J and S*, tylko że ta firma, oczywiście dziwnym zbiegiem okoliczności, powiązana jest z... rosyjskim *Jukosem*.

Dla nikogo, kto chociaż troszeczkę orientuje się, jak działa wielki biznes, nie jest tajemnicą, w jaki sposób powstają takie umowy, na których Polska traci niebotyczne pieniądze, a jednocześnie zagrożone jest jej bezpieczeństwo energetyczne. Najpierw o pieniądzech. Otóż wiadomo, że *Orlen* mógłby kupować ropy bezpośrednio od producenta, co praktykują największe światowe koncerny. Do czego zatem służy pośrednik? Wyłącznie do tego, ażeby iluś tam ludzi napelnić *po drodze* własną kieszeń. Nic to, że owe pieniądze, idące zapewne w dziesiątki (jeżeli nie setki) milionów dolarów rocznie, mogłyby zasilić budżet biednego (jakim Polska jest bez wątpienia)

państwa. Nie brakło by pieniędzy na służbę zdrowia, oświatę i kulturę. Tylko że ludzie (czytaj: polityków), którzy dysponują państwowym majątkiem, nie a nie to nie obchodzi. Nie interesuje ich kraj, którym rządzą, gdyż najważniejsze jest dla nich nabicie własnej kasyby.

Inny polityk, hołubiony i ochraniający przez ówczesnego premiera Leszka Millera, spowodował, że na polski rynek weszło wiele podejrzanych leków. Jaki miał w tym interes? Oczywiście – interes jak najbardziej prywatny, bo nie sposób uznać, aby owe *podejrzane* leki miały służyć pacjentom. Cóż, na razie pytanie to pozostaje bez odpowiedzi, tak jak pytanie *Super Expressu*: *czy umocznym w afery byłem ministrem zdrowia zajmie się wreszcie prokurator?* Tylko skąd wziąć takiego prokuratora, jeżeli przykład idzie z góry? Sam minister sprawiedliwości (już były) i jednocześnie prokurator generalny – Marek Sadowski – tak skutecznie uchyla się przed prawem, że mimo upływu dziewięciu lat nie stanął przed sądem za spowodowanie wypadku drogowego (ofiara jest dzisiaj inwalidką!).

Powłada się najczęściej, że owa korupcja, złodziejstwo i powszechna bezkarność polityków jest w prostej linii dziedzictwem komunizmu. Ale mnie przypomina się zawsze Rzeczpospolita przedrozbiorowa: z upartą niechęcią szlachty do zreformowania państwa, z wysługiwaniem się obcym dworom, z posłami i senatorami biorącymi pensję z zagranicy za zrywanie sejmów. Tacy byli i tacy nadal są Polacy. Na tegorocznej liście państw, w których warto inwestować, Polska znajduje się na 60. miejscu (rok temu byliśmy na 45.). I uwaga: za największe problemy, z jakimi spotyka się w Polsce zagraniczny przedsiębiorca, uważa się niewydolne władze i korupcję.

Nic dodać, nic ująć.

Andrzej W. Pawluczuk

Intencja II Krucjaty Modlitwy za Ojczyznę
LISTOPAD 2004:

Aby liderzy ruchów nieustannie poszukiwali nowych metod ewangelizacji i formacji.

LIST DO REDAKCJI

Odbyła się II Pielgrzymka na rolkach z Warszawy na Jasną Górę. Rozpoczęła się w niedzielę 22 sierpnia br. Od początku towarzyszyła pątnikom zmieniona na potrzeby pielgrzymki piosenka zespołu *Chili My Niedzielny przelot*. A brzmi ona następująco: *W niedzielę rolki swoje weź, na Jasną Górę z nimi wjedź i jedź...*

Na rolkach do Maryi

Na pomysł zorganizowania pielgrzymki w tak nietypowy sposób wpadł ks. Artur Pa-procki – michalita podczas jednej z tzw. *wieczornych rundek po Bemowie*. Ksiądz Artur zapraszał codziennie młodzież tej warszawskiej dzielnicy na wspólne rolkowanie – około 10 km po osiedlu, gdzie wznosi się michalicka świątynia pod wezwaniem Matki Bożej Królowej Aniołów. W roku 2003 po raz pierwszy z 9-osobową grupą zapaleńców wyruszył na pielgrzymkę na rolkach. Ponieważ była to zupełna nowość, odważnych rolkarzy znalazło się tylko pięcioro. Natomiast w tym roku było ich już 19.

Ze względów bezpieczeństwa grupa nie mogła być zbyt liczna – ale 22 osoby (wraz z kierowcami), które wybrały się na pielgrzymkę, stworzyły naprawdę rodzinną atmosferę.

Trasa pielgrzymkowa liczyła około 265 kilometrów. Codziennie do przejechania było około 70 km. Jednak nie był to tylko wysiłek fizyczny, ale próba pokonania własnych słabości, próba odkrycia siebie na nowo oraz pogłębienia relacji z Bogiem. Przemierzając każdego dnia sporo kilometrów, można było podziwiać piękno stworzenia i chwalić Boga za Jego wspaniałe dzieła... *a wszystko, co stworzył, było dobre...*

Modne dziś określenie, że pielgrzymka to

rekolekcje w drodze, jest oczywiście bardzo trafne. Mimo tego, iż ta pielgrzymka ma trochę inny charakter niż wszystkie inne (ze względu na nietypowy sposób komunikacji) – wszystkie elementy pielgrzymkowe zostały zachowane: codziennie odmawiany był różaniec, śpiewaliśmy godziniki, odmawialiśmy koronkę do Bożego Miłosierdzia, liturgię Godzin i uczestniczyliśmy we Mszy św. Wszystkie te modlitwy – wypełniające dni – pomagały nie tylko zbliżyć się do Jezusa, lecz także wzmacniać nadzieję i wytrwałość, gdyż... *ci, którzy zaufali Panu, odzyskują siły, otrzymują skrzydła jak orły, jadą bez zmęczenia...*

Refleksja, jaka zrodziła się we mnie podczas sierpniowej podróży do Maryi, jest taka, iż nieważne, czy biorę udział w pielgrzymce pieszej, rolkowej, rowerowej, konnej czy biegowej. Ważne, że ten czas pomaga zbliżyć się do Boga.

Celem – w przypadku II Pielgrzymki na Rolkach – była Jasna Góra i dom Matki Niebieskiej, a także (a może przede wszystkim) zbliżenie się do Jezusa, który w ramionach Matki odnajdywał ukojenie. Myśle, że cel został osiągnięty...

Ania Grodzka



Wydawca miesięcznika *PiP*:

Wydawnictwo *MICHALINEUM*
przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia św. Michała Archanioła
Dyrektor Wydawnictwa *Michalineum*
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje:

Redaktor naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA
tel. (22) 771 45 95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:

PiP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k. Warszawy
tel. (22) 781 16 40
www.michalineum.pl

Skład, lamanie, druk:

Drukarnia *MICHALINEUM*
Grafika komputerowa:
ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty

Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł
Pieniądze należy wpłacać na konto:
PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wołomin
08 1020 1042 0000 8302 0009 1181

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy.

Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym.

W przypadku większej liczby egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

Zamówienia na miesięcznik *PiP*
prosimy kierować na adres:

Wydawnictwo *MICHALINEUM*
(dział kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel.: (22) 781 14 20

Redakcja dysponuje ograniczoną liczbą
egzemplarzy archiwalnych.

Miesięcznik można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:
1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza 1
2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katyńskich 57
5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych

Nakład: 5000 egz.